

zdarzenia

KRAKÓW

26. V. 1957 r.

Nr 3

CENA Zł 1.50

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

**Chcesz wiedzieć
co oznaczają
dwa zdjęcia
na prawo?
Przeczytaj
ten artykuł**



**Pierwszy krok
nad
chmurami**

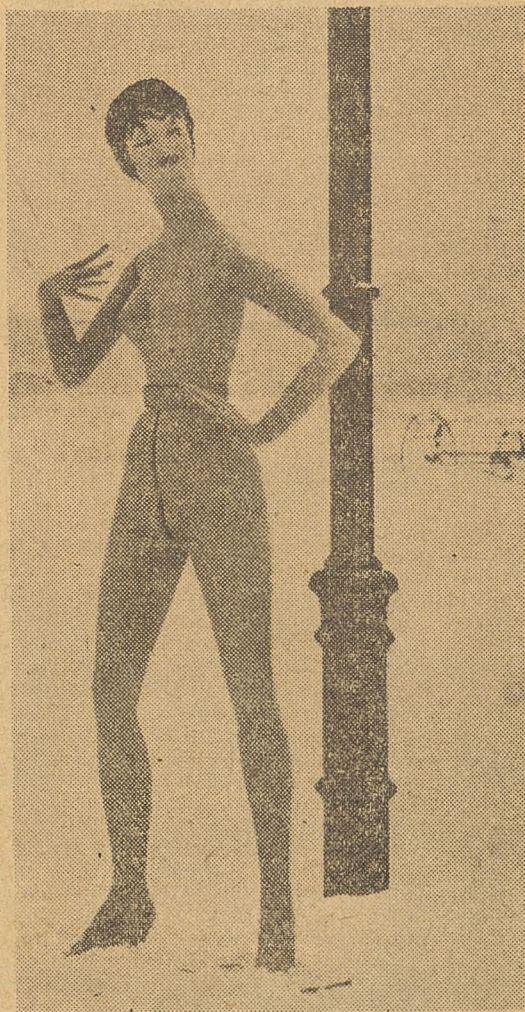
Być może już niedługo (za rok? Za dwa? — kto wie!), gdzieś z wojskowego lotniska na Alasce wzniesie się 4-motorowy odrzutowiec, kierując się na zachód, ku wybrzeżu Syberii. Zamiast bomb i karabinów maszynowych wyposażony będzie w kilka najnowocześniejszych, fantastycznych kamer, na widok których oszaleliby cywilni filmowcy i fotoamatrzy. A są już takie kamery: stereoskopowe, dające precyzyjny, plastyczny, wielobarwny obraz terenu, są filmy czułe na promienie podczerwone, dla których nie są przeszkodą mroki nocne i chmury.

Samolot przeleci spokojnie linię radzieckiego wybrzeża i niezaczepiany, śledzony tylko na ekranach radarowych, zapuści się w głąb terytorium ZSRR. Jego zjawienie się nie będzie niespodzianką dla radarzystów i obrony przeciwlotniczej: dowództwo radzieckie zostało wcześniej uprzedzone, że w tym a tym rejonie przekroczy granicę amerykański samolot inspekcyjny. Zresztą — w tym samym czasie podobny samolot radziecki będzie krążył nad Alaską.

Samoloty będą krążyć wysoko, gdzie ponad 10.000 metrów, systematycznie ogarniając zasięgiem swych kamer pasy terenu podlegającego inspekcji. A kamery będą robić zdjęcia za zdjęciem, zdjęcie za zdjęciem. Wedrując tak z szybkością 1.000 km na godzinę na wysokości 13 kilometrów, można w czasie zaledwie czterech godzin odfotografować dokładnie obszar, równający się powierzchni całej Europy środkowej z Niemcami, Polską, Czechosłowacją. Fantastyczne, ale prawdziwe!

A potem samolot wróci do bazy, filmy pójda do laboratorium i wywołane błyskawicznie znajdą się na stołach ekspertów. No, a ci już wiedzą czego szukać i mają pracę tak zorganizowaną, że w krótkim stosunkowo czasie obejrzą każde zdjęcie i przegłdną każdy kilometr kwadratowy terenu.

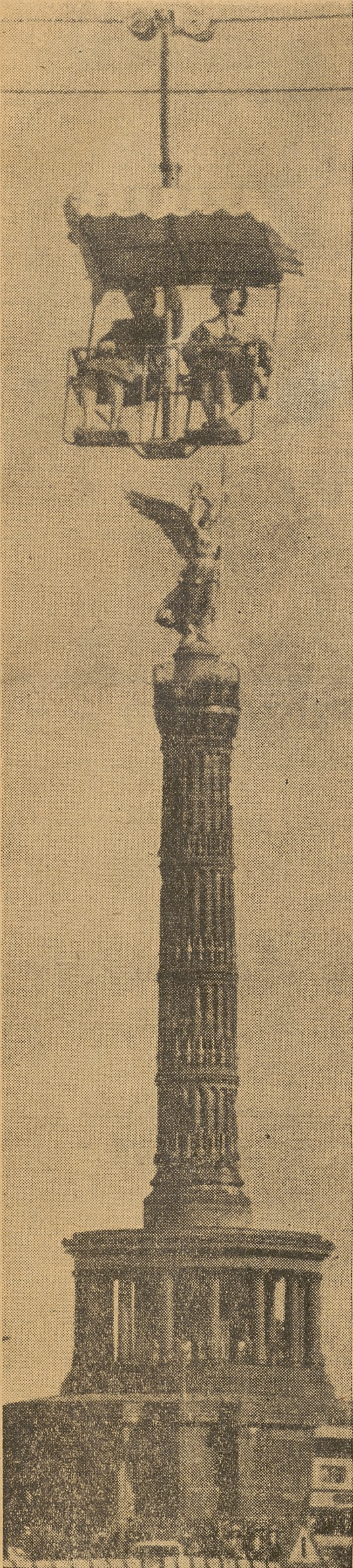
(Ciąg dalszy na str. 9)



(Patrz str. 9)



Londyński prywatny Arts Theatre (który nie podlega cenzurze) wystawia obecnie sensacyjną premierę sztuki pisarza francuskiego Jean Geneta pt. „The „Balcony“. Sztuka ta szokuje najbardziej wyrafinowanych ludzi teatru i gorszy krytyków. Jej treścią jest satyra na władzę. Oto scena ze sztuki.



W Berlinie podczas wystawy architektury współczesnej kursować będzie kolejka linowa przebiegająca nad ulicami miasta. Demonstrujemy podróż taką kolejką.

Dowiedziałem się z gazet, że w tym roku przyjedzie do nas parę tysięcy turystów zagranicznych, a przyjechaliby znacznie więcej, ale nie możemy zaspokoić ich luksusowych wymagań. Orbisowi specjaliści powiadają, że powinniśmy wybudować nowe hotele, parkingi i różne takie delikatesowe urządzenia tylko dla gości, bo z tego będzie dużo dewiz. Okropnie się przestraszyłem. Już wiem, jak to będzie wyglądać. Weźmie się jakiś hotel i znacznie go przerabiać. Imprezę tę obędzie rój facetów z pomysłami — architektów, planistów, plastyków oraz kombinatorów. Zbiorowym wysiłkiem stworzą oni olbrzymią dziurę, która będzie łykała miliony, a po paru latach stanie jeszcze jeden grzmot nie z tej ziemi, z salą jadalną, w której pod sufitem można urządzić manewry Zeppelinów, z superludowymi hyperfreskami i mozaikami (sztuka pół miliona złotych lekko licząc), z palisandrowymi kłozetami, ultraszafnią wykutą w porfirowym bloku, na pięćdziesiąt, a może i na sto pokoi. W każdym telewizor, spluwaczka nylonowa, telefon opryskujący wodą kwiatową, prawdziwe łóżko i widok z okna na lepianki tubylców. Od frontu — parking. Krajowcy będą się tam kłaść na ziemi, żeby pomagać zagraniczny samochód. Szalenie mi się to nie podoba. Hotel z bidetami i telewizorami to naturalnie dobra rzecz, pod warunkiem, że dla wszystkich. W okolicach Kopenhagi widziałem tysiące turystów z Francji i Anglii, mieszkających we własnych namiotach. Miasto doprowadza im wodę, daje teren na obozowisko, organizuje punkty sprzedaży żywności, o resztę goście martwią się sami. Może by iść raczej tą drogą? Jeżeli któremuś kapitalistycznemu bogaczowi się takie życie nie spodoba, to niech jedzie gdzie indziej. Obejdziemy się bez jego dolarów. Sztuczne, nad własne możliwości, dogadzanie zagranicznym facetom uważam za niemoralne i obrzydliwe wobec nas, krajowców. Wiadomo, żeśmy są dziady i że tym

co najbardziej zadziwiło Murzynów, którzy przyjechali do Warszawy, była starożytność naszych takówek. W Afryce są znacznie nowocześniejsze. Jednakże Murzyni nigdy nie budowali w Afryce delikatesowców dla białych twarzy. Białe twarze same sobie te swoje luksusy tam urządziły. Zadać zatem od murzynów, tj., przepraszam, od Polaków, żeby budowali galluxowe osiedla dla wypchanych dolarami typów — to grubsza przesada. Powiedzą potem w domu, żeśmy nie tylko bida z nędzą (co ostatecznie nie hańbi), ale i liżypupki, chyba że w czasie krajoznawczych przechadzek ten i ów dewiziarz dostanie łupnia od chuliganów, co uratuje nasz honor narodowy. Jednakże nie możemy polegać na samych chuliganach, którzy są bądź co bądź tylko inicjatywą prywatną i, przynajmniej jak dotąd, nie leją w ramach sektora społecznego.

Zresztą który Francuz czy Szwajcar przestraszy się bidetu? Pokazać takiemu Delikatesy przed świętami, zaprowadzić go na rynek w Mogilanach, dać mu miesięczny bilet na warszawski autobus, to mu dopiero oko zbieleje i będzie wiedział, że za swój ciężki grosz przynajmniej coś takiego przeżył, o czym będzie mógł wnukom opowiadać. Ale nie wszystko można takiemu pokazać. Co do krakowskiej tandety na przykład, to bym się długo zastanawiał, czy włączyć ją w trasę autokarów. Jest to, kochani, coś bez precedensu, chyba, że sięgać po paralele do Babilonu, a może w jeszcze głębszą starożytność. Pamiętam taką jedną wyprawę na te Dzikie Pola przed Wielkanocą. Walili tam rzeki luda, nie mniejsze niż na cmentarz podczas Wszystkich Świętych — niech mnie diabli wezmą, jeśli przesadzam. Tłumy płynące ulicami zlewały się na dzikim wyboistym uroczysku, pełnym potłuczonego, wdeptanego w ziemię szkła i ubitych na cement śmieci. Jest tam może hektar, może dwa takiej śmietniskowej przestrzeni, otoczonej z jednej strony wiaduktami kolejowymi, z przodu są zalewiska po-

rosłe sitowiem jak oczerety w „Ogniem i Mieczem”, a z dala dymią kominy budownictwa socjalistycznego. Na całym obszarze kipi, bulgocze i targuje masa handlująca, tak gęsta, jakby się wnet miała zrosnąć w jedną wielką a brudną galareję. Okropność! A wszystkich łachów, ciuchów, sprzętów, szczyrków, żarówek, rozdeptanych butów, majtek i maszyn do szycia jest tam akurat tyle, że jakby je na kupę zebrać, to może — może starczyłoby na zaopatrzenie jednego dużego sklepu z magazynem, a jeśli by usunąć brud, przylegający do łachów i ciuchów, to wystarczyłoby już tylko pół magazynu. I z tego wszystkiego, z tej trochy poszarganych, potłuszczonych, skradzionych albo wykupionych w Galluxie rzeczy żyją, jak można sądzić na oko, tysiące i tysiące ludzi, dzięki cudowi handlu łańcuszowego. Gdyby te babki i fałci rozsiadli pod papą, parasolami i gołym niebem wzięli się do pracy, to można by tym, co by wyprodukowali, odziać i wyżywić spore miasteczko. Spekulacja ciuchowa ma swoje szczyty i niziny, swoich nędzarzy i monopolistów.

Może by jaki ekonomista wyjaśnił mi, w jaki sposób np. starszy człowiek, który nosi na ramieniu parę zszarganych spodni, a w rękę blaszany budzik, i kręci się z tymi manelami w tłumie, może zarobić na chleb codzienny? Rzecz warta jest studiów. Widziałem znowu raz mieszkanie „hurtownicze ciuchów”, ohydą kłitkę w cuchnącej oficynie, do której sznurem ciągną przewspaniale odziane elegantki, aby gmerać w stosach fatalaszków, ułożonych na brudnych stołkach i jeszcze brudniejszej podłodze. Ceny są stałe, drzwi się nie zamykają, elegantki w rosnącym roznamietaniu zdzierają z siebie to, w czym przyszły i przymierzają przed rozbitym lustrem starzyńskie kreacje. Ostatecznie można i to wytłumaczyć — jako przejaw „żywiolowej reeuropoizacji”. Wysiłkowsy się, można by więc może cudzoziemcowi i tandetę wytłumaczyć i dać mu na drogę komentarz socjologiczny.

Są jednak rzeczy trudniejsze. Chciałem odebrać książkę telefoniczną, bo wyszła nowa. Oczywiście, do domu abonamentem pocztą nie przysłała bo, wiecie, „nie stać nas”. To jest takie nowe „oszczędnościowe” hasło. Poszedłem więc na pocztę, a tam nie ogonek, nie ogon — ale potworny, zbity tłum, że oczom nie wierzyłem. Co się stało? „Dać książkę telefoniczną”. Rozumiem, że nie mamy dość żarówek, aut, szynki, masła, ale książka telefoniczna?! Ile, w końcu kosztowałoby wysłanie jej pocztą? Najokropniejsza, uważacie, jest to, że my się pomału do tego przyzwyczajamy, jak człowiek, który wpadł do błota, najpierw broni się, krzyczy „pomóżcie!”, tapla się, pluska, aż po jakimś czasie poczyną się, zrezygnowany, zanurzać. Przecież tak nie można. To jest równia pochyła. Na gręczność już nas nie stać, na uśmiech ekspedientki też nie, na ekantowanie w żaden sposób nikt sobie nie może pozwolić. „Ruch” każe przychodzić po zaabonowaną gazetę, pociągi na niektórych liniach robia, jak wyczytałem, po 20 km na godzinę — i czy nie mam racji, że Babilon? Choć w Babilonie nie było pociągów, ale też to jedyne różnica. Dlaczego nie można rozesłać książki telefonicznej abonamentem? — pyta cudzoziemiec, który, wyszedłszy z Galluxowego hotelu, wpadł na pocztę, wrzucił pocztówkę do rodziny. A ja nie umiem mu odpowiedzieć. Nuże, rady, ekonomści, fachowcy, organizatorzy, planiści, wytłumaczenie to — bo ja, że bym się na głowie postawił, nie mogę. Oko bieleje, włos siwieje, usta milczą, a dusza — co dusza? Radziłem redaktorom, żeby nazwali to nowe pismo „Gluche Wycie”. Nie chcieli jakoś. Upierałem się, że to nie jest żaden dowcip. Co za dowcip? Skąd? Czy to jest może śmieszne? Śmieję się, jeśli możecie, bo ja nie mogę. A zatem, żeby zakończyć konstruktywnie, z duchem czasu: Więcej hoteli dla gości zagranicznych!

O czym rozmawialiśmy z N. S. Chruszczowem

Niewielki, skromnie urządzony gabinet, w którym w samym środku znajduje się duży prostokątny stół. W głębi biurko, na nim modele nowoczesnych cywilnych samolotów odrzutowych. Wokół stołu przy zielonym płótnie siedzą my, polscy dziennikarze, a pośrodku nas gospodarz, tow. Nikołaj Siergiejewicz Chruszczow. Wiadomość o tym, że mimo nawału pracy bieżącej I sekretarz KC znajdzie chwilę czasu na przyjęcie naszej grupy wywołało zrozumiałe zainteresowanie i wdzięczność. Po 4 tygodniach pobytu w Związku Radzieckim zobaczyliśmy wiele, ale um więcej widzieliśmy, tym więcej nasuwało się pytań, próśb o autorytatywne wyjaśnienie szeregu istotnych kwestii. I tych, które dotyczą bezpośrednio wewnętrznych spraw Związku Radzieckiego i tych, które związane są z wyjaśnieniem radzieckiego punktu widzenia na sytuację międzynarodową i jej rozwój.

Pierwsze pytanie dotyczyło bilansu przemian w Związku Radzieckim po XX Zjeździe KPZR. Namyslałem się i wolno, wyraźnie mówiąc, najpierw po rosyjsku, później wtrącając zdania i całe okresy po ukraińsku, tow. Chruszczow nakreślił w grubszych zarysach węzłowe zagadnienia realizacji uchwał XX Zjazdu. Zaczął od spraw rolnych. Mówił o tym, jak trudna sytuacja panowała w rolnictwie radzieckim w latach 1953—54. Na kilkanaście miesięcy przed XX Zjazdem rozpoczęło kierownictwo radzieckie dokładne badania przyczyn i rozmiarów trudności swojego rolnictwa tak, że na XX Zjazd przyszło już z dokładną analizą trudności i konstruktywnymi sposobami ich przezwyciężenia. Opowiada nam tow. Chruszczow o tym jak w niektórych kołchozach, szczególnie zaocafanych, niska była dñiówka obrachunkowa, jak niska była mleczność krów. Z właściwym sobie rubasznym nieco humorem, mówi dlaczego krowy radzieckie poparły uchwały XX Zjazdu KPZR.

— Poparły dlatego, ponieważ my, kierownictwo poparliśmy nasze krowy. A poparliśmy je przez rozwinięcie paszy, przez śmiałe postawienie przed naszym krajem problemu kukurydzy.

Np. w roku 1956 wynosiła przeciętna mleczność 2.700 litrów. W tej chwili w Związku Radzieckim jest już pełna samowystarczalność pod względem produkcji mleka. W każdym mieście można kupić tyle mleka i przetworów mlecznych, ile dusza zapagnie. To jest realny, najbardziej odczuwalny dla prostego człowieka wynik uchwał i XX Zjazdu i poszczególnych planów KC w okresie od 53 roku do chwili bieżącej. Podobnie węzłową sprawą jest dla rolnictwa radzieckiego hodowla. Mogliśmy w czasie naszych wędrówek po Związku Radzieckim zaobserwować to niezwykle pozytywne zjawisko, że zaopatrzenie ludności w mięso jest wystarczające. Nie widzieliśmy braków w tej dziedzinie.

A jeśli chodzi o inne dziedziny rolnictwa? I o tym szeroko, go gospodarz mówił tow. Chruszczow. Ze złożeń jest na ogół bardzo dobrze, z kartoflami też, z jarzynami nie ma większych kłopotów. Gorzej jest z owocami. Pod względem rozwoju sadów jest jeszcze bardzo wiele założeń. Mogliśmy to zresztą w czasie naszych wędrówek po kraju radzieckim zaobserwować. Np. w restauracjach, jadłodajniach uderzał nas brak owoców, brak świeżych jarzyn. Nie stanowi oczywiście dobrego menu ta nadmierna ilość mięsa, ta duża ilość tłuszczu. I kierownictwo radzieckie zdaje sobie z tego sprawę. Mówił nam tow. Chruszczow, że np. jeśli chodzi o obwód krymski, to w czasie ostatnich 2 lat posadono tam tyle winorośli, ile w całym poprzednim okresie posadono ich na Krymie. Podobnie jest w innych częściach Związku Radzieckiego, jeśli chodzi o rozwój sadów. Dopiero jednak za 10 lat będzie można chyba zbierać pełne owoce tych planów, dlatego, że rozwój sadownictwa, rozwój winnej latorośli wymaga nie jednego, dwóch lat, ale nieco dłuższego czasu.

Z dużą dumą mówił I sekretarz KC o tym, że po raz pierwszy od Rewolucji Październikowej na 1 Maja 1957 roku nie trzeba było zwiększać masy towarowej w Związku Radzieckim. Po prostu było to niepotrzebne.

A sprawy przemysłowe?

Towarzyszom radzieckim chodzi o to, by z pionowego systemu zarządzania przejść na system poziomy. Chodzi o to, by republiki, by obwody uzyskały znacznie większą samodzielność w zarządzaniu swoim przemysłem, swoją gospodarką. Chodzi wreszcie o to, by uległ przeobrażeniu odbiurokratyzowaniu system planowania. By kierownicze ośrodki jak np. Gosplan ZSRR i Gosplan republik mogły w sposób twórczy, leninowski kształtować proporcje rozwoju gospodarki ZSRR, określać wskaźniki i tempo rozwoju całej gospodarki. Temu wszystkiemu służy system podziału całego kraju na tzw. sowнархозы, na rejony gospodarcze.

Mówił tow. Chruszczow również o oporach, zrozumiałych zresztą, które ta reforma i jej realizacja budzi w niektórych środowiskach urzędniczych, w niektórych ministerstwach. Zapewniał nas, że kierownictwo partyjne, cała partia radziecka konsekwentnie przeprowadzać będą do końca reformę nie licząc się z tymi oporami, które często są wynikiem rutyniarstwa, biurokratycznego patrzania na gospodarkę narodową.

Drugie pytanie dotyczyło spraw międzynarodowych. Chodziło nam o to, w jakim stopniu kierownictwo radzieckie ocenia elementy nowego odprężenia w obecnej sytuacji międzynarodowej. N. S. Chruszczow mówił, jak w miarę czasowego oddalania się od dwóch wydarzeń, które skomplikowały w niedawnej przeszłości sytuację międzynarodową, więc w miarę oddalania się od spraw węgierskich, od spraw Srodkowego Wschodu, znowu rysuje się możliwość nowego odprężenia. Z dużą nadzieją wspominał o nowych propozycjach ZSRR w dziedzinie rozbrojenia. Mówił z wielką powagą o strasliwej sile współczesnej techniki. Sile, o której my niejednokrotnie nie mamy pojęcia, a któ-

ra jest w stanie obrócić w perzynę połowę świata w wypadku nowego konfliktu. Są to fakty, które muszą pokrozić nawet najbardziej zapalczywego agresora. Dlatego pokojowa polityka Związku Radzieckiego oparta jest na elementach obiektywnych, nie tylko na pragnieniu narodów.

Bardzo wiele miejsca znalazł tow. Chruszczow na omówienie różnych zagadnień, różnych aspektów rozwoju międzynarodowego ruchu robotniczego w chwili obecnej. W wielu zagadnieniach usłyszeliśmy szczerze i jasne zanalizowanie bieżącej sytuacji. Dużo mówił tow. Chruszczow o stosunkach polsko-radzieckich. Zgadzał się, że przed VIII Plenum naszej partii nie wszystko w stosunkach tych było dobre. Z dużą radością usłyszeliśmy zapewnienia o tym, że przyjaźń polsko-radziecka potrzebna jest Związkowi Radzieckiemu, jak i Polsce, a granica na Odrze i Nizie jest granicą, której bronią nie tylko Polacy, ale i również ludzie radzieccy w swoim własnym, jak najlepiej pojętym interesie.

Z dużym zrozumieniem słuchaliśmy wypowiedzi tow. Chruszczowa na temat tego, jak należy rozwiewać wątpliwości, niejasności, nieporozumienia pomiędzy poszczególnymi grupami ludzi czy odłamami społeczeństwa w obydwoj naszych krajach. Najlepszą metodą rozwiązywania tych trudności jest wymiana poglądów, są kontakty o osobiste. I dlatego zależy bardzo Związkowi Radzieckiemu, jak mówi tow. Chruszczow, by jak najwięcej polskich dziennikarzy, w ogóle ludzi z Polski, przybywało do Związku Radzieckiego. I również by jak najwięcej ludzi radzieckich udawało się bezpośrednio do naszego kraju. To jest najlepsza płaszczyzna rozwiewania nieporozumień, umiarnienia i dalszego rozwijania przyjaźni między naszymi obydwojmi krajami i obydwoimi narodami. Przyrzekliśmy tow. Chruszczowowi, że powrózimy to naszym czytelnikom i czy-

nimy to niniejszym. Pod koniec 3-godzinnej rozmowy prosił tow. Chruszczow, by przekazać w jego imieniu serdeczne pozdrowienia tow. Wiesławowi, o którym wyrażał się z najwyższym uznaniem w czasie swojej rozmowy. Bezpośrednio po rozmowie z I sekretarzem KC udaliśmy się na Kreml, na przyjęcie delegacji mongolskiej, która właśnie bawiła w Moskwie. W wielkiej sali pałacu kremlowskiego, przepięknie utrzymanej rozmawialiśmy po raz ostatni z towarzyszami radzieckimi. Przypominaliśmy sobie pierwsze rozmowy, które również tutaj zaraz po naszym przybyciu prowadziliśmy, drugiego bodajże czy trzeciego dnia po naszym przyjeździe z Warszawy, gdy uczestniczyliśmy w podobnym przyjęciu zorganizowanym wówczas na cześć organizacji rządowej Albanii. Przypominając sobie znajome twarze, rozmawiając z poznanymi ludźmi, ściskając na pożegnanie dłonie, myśleliśmy o tym, że przyjazd do Kraju Rad, mimo że byliśmy w nim tylko miesiąc, przyczynił się wiele do tego, by problemy naszych dwóch krajów skonfrontować, skonfrontować w gorącej, szczerzej dyskusji, takiej, jaka powinna toczyć się pomiędzy towarzyszami. Rozmawiając wówczas po raz ostatni z dalszymi sobie sprawę, że nie tylko my skorzystaliśmy wiele z tej podróży, z tych rozmów, a szczególnie z rozmowy z tow. Chruszczowem. Również i my w miarę naszych umiejętności, jak najwięcej mówiliśmy o sprawach Polski, o specyficznej sytuacji naszego kraju, o kwestiach związanych z rozwojem naszej prasy, broniliśmy niejednokrotnie naszych pozycji. I była to obrona tym skuteczniejsza, że na ogół przyjmowana przez dyskutantów i polemistów merytoryczna, bez subiektywnych zniekształceń. Jesteśmy pewni, że nasza wizyta zapoczątkowała osobiste kontakty, które nie tylko w dziedzinie prasowej powinny mieć miejsce między naszymi obydwoimi krajami. Ta wymiana służyć będzie na pewno przyjaźni.

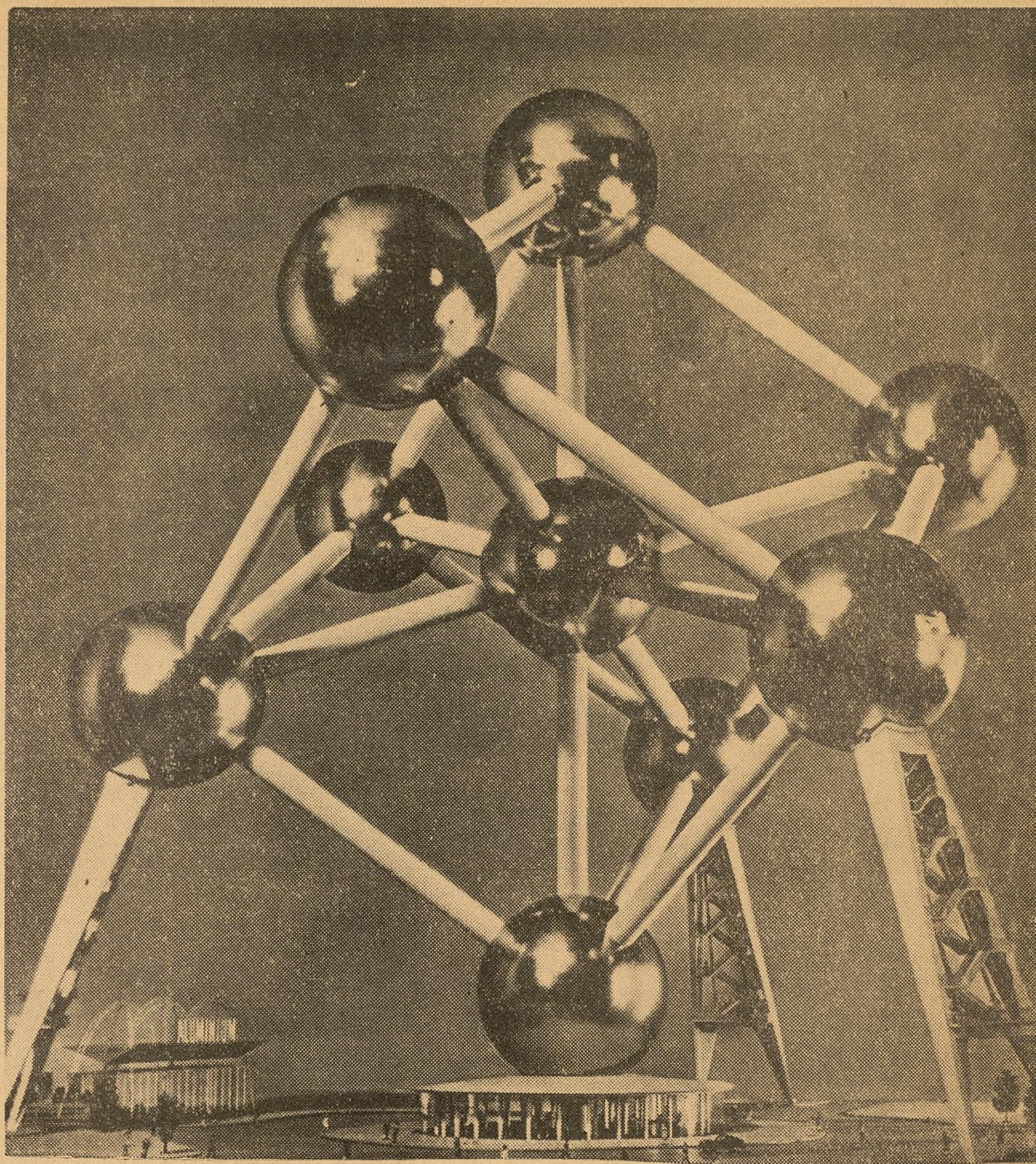
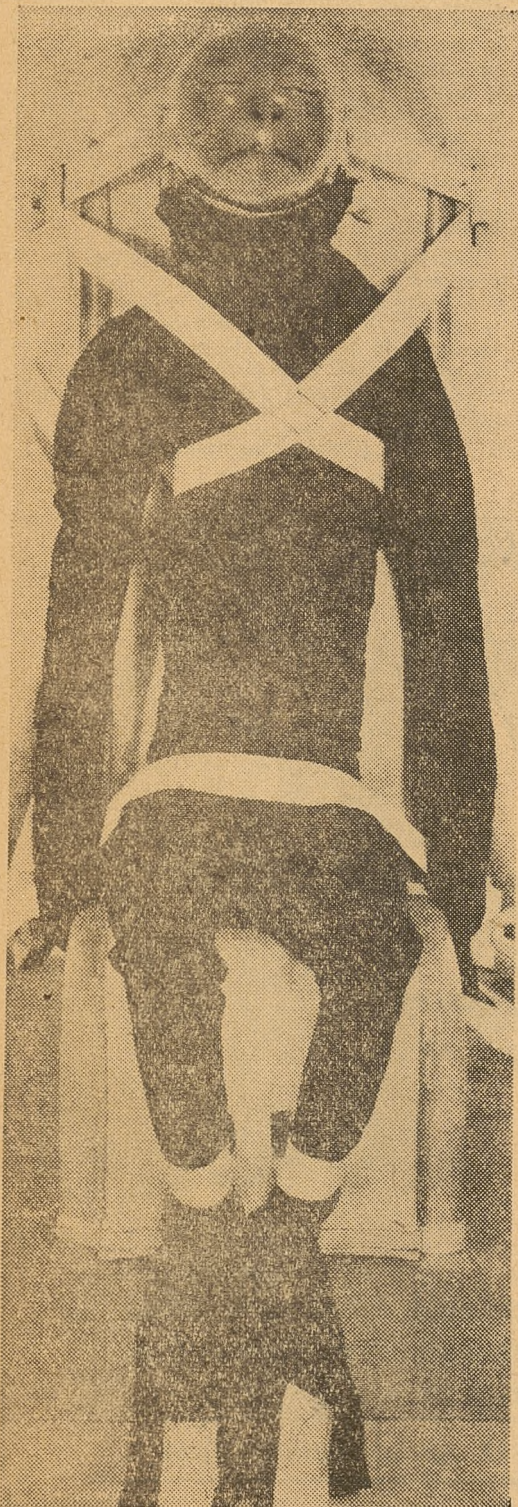
IGNACY KRASICKI



rys. Ha-Go
— Co, kupię samochód? Po co? Wszystkie
moje przyjaciółki mają wozy, z których ko-
rzystają.
— Masz rację. Ja też tak zawsze mówię.
Wychodzi za mąż? Po co? Wszystkie moje
przyjaciółki mają mężów.



NIECH ROZKWITAJĄ
WSZYSTKIE
K W I A T Y



CO ZNACZY SŁOWO NOWOCZESNOŚĆ W

OBYCZAJOWOŚCI

ARCHITEKTURZE

SZTUCE

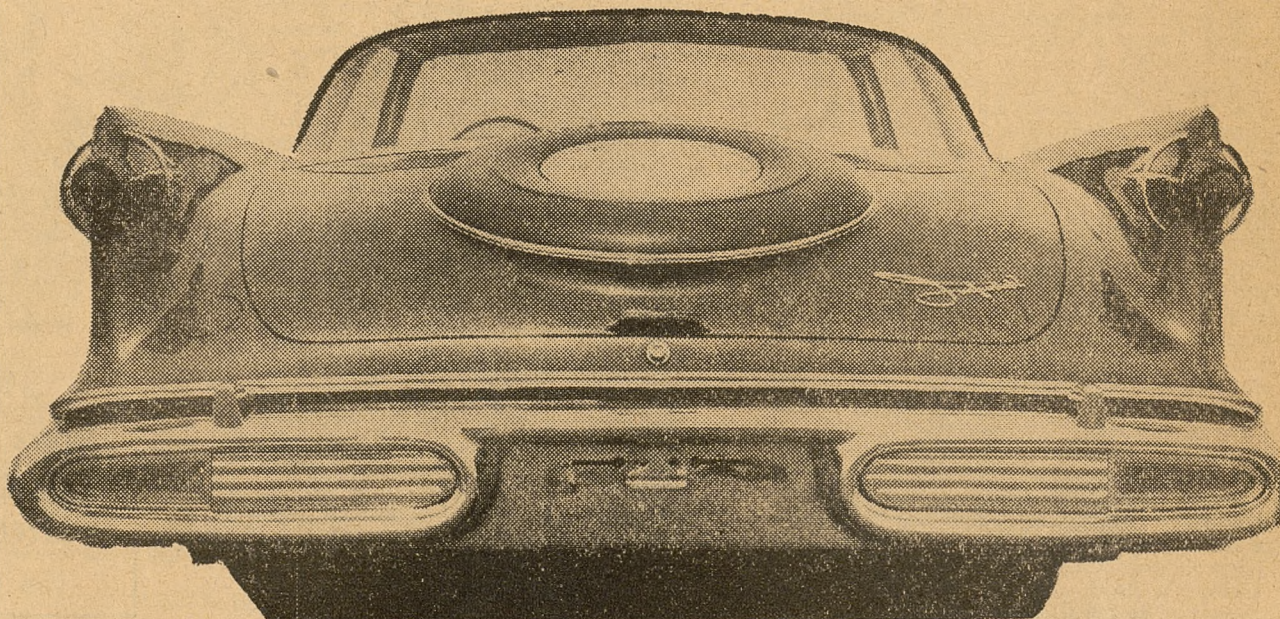
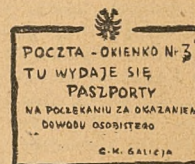
BIUROKRACJI

POLITYCE

USTAWODAWSTWIE

MODZIE

TECHNICE



JASZCZUR I LILIANNE

OPOWIADANIE

III

Jaszczur począł zyskiwać sobie w namiocie żołnierskim coraz większe względy. Czyszcząc go po gospodarsku z wszelkiego paskudztwa, bo oprócz skorpionów zjadał także pająki i wszelkie inne insekty, sam pozostawał czysty i schludny, aż przyjemnie było spojrzeć. Skoro na jego grzbiecie, niby płaszcz ze szmaragdowego safianu, błyszczała sterczącymi kostkami kręgów, a podbrzusze miał jeszcze delikatniejsze, zupełnie jak biała rękawiczka glacie. Widać, że nikt mu krzywdy nie robi, a przeciwnie — jeszcze się każdy uśmiechał, oosuwając jego zabieg i małe zmyślności, rozczuchwiali się do tego stopnia, że zaczął wlaźć Cwojce do łóżka na koc. Antoni nie spędzał go, i gdy czytał na przykład, to jedną ręką trzymał książkę, a drugą skrobał gada koło uszu albo w podgardle. Jaszczur niezmiennie to lubił. Zastłuchany trzepał powiekami na różowych oczkach, nie większych niż szklane główki od szpili, i ruszał wolem. Józek Sierni patrzył na to z drugiego łóżka z początku z pewną dezaprobatą, a potem przestał krytykować poza drobnymi uwagami: — A, tośmy sobie kota wychowali, psia krewo! Czy już nie porządniejszego na tej puszczy nie żyje?

— Nie mrucz — odpowiedział Cwojka — nie mrucz. Tyś przecież powinien się prędzej przyzwyczaić. Ty jesteś mniej więcej ślad. A on jest porządek.

On. Tak właśnie zawsze o nim mówili, gdyż mimo znacznej uwagi, którą musieli mu poświęcać w ułożeniu wzajemnych stosunków i porządku dnia, nie wymyślił mu jednak imienia. Na głos ludzki słabo reagował i nie dawał się prawdopodobnie wolać. Takie wymagania byłyby czymś przesadnym. Pozostało więc przy formie w trzeciej osobie. — Gdzie on jest? Czy on już wrócił na wieczór? Jemu daj, może zje.

Antoni zabierał go z sobą na wyjazdy samochodem, nawet w dalszy kurs, i jak się przekonał, trud podróży działał na jaszczurę wybitnie usypiająco. Ułożony na derce tylnego siedzenia nieruchomieł całkowicie po pierwszych pięciu milach. I nie zlaźł ze swego legowiska w czasie postoju. Można go było zostawić spokojnie choćby na dwie godziny, nie zmieniając nawet pozycji; w drodze niczego nie był ciekawy. Pośrednio też, bez udziału woli, spełniał w wozie rolę pilnującego psa. Na dalsze jazdy, np. do Mossulu czy Bagdadu, Antoni zaciągał zawsze budę dla ochrony przed pyłem i skwarem, ale mimo to jeep pozostawał właściwie otwarty, a hołota miejska miała lepkie palce. A zwłaszcza ciekawość — ciekawą byli ci stateczni Kurdowie w długich burnusach, jak sroki. Jeżeli coś zakryte, trzeba zaglądnąć do środka. Raz powracając do wozu po dłuższej nieobecności sam był świadkiem jak kilku rzeczoznawców angielskiego sprzętu wojskowego właśnie zabierało się do lustracji wnętrza i już uchylało smagłymi palcami szybki z celofanu. Poraził ich widok tylnych foteli. — O, Ałlach! — odskoczyli nagle i szybko odeszli.

Z wizytą do George'a Bradley'a na szachy też go niekiedy zabierał z sobą. Anglik niczego się nie dziwił. To, że Polak ma swojego „hobby“, życzyliwie go tylko do niego usposabiali. Raz nawet, nasłuchawszy się o zaletach jaszczura, zaproponował Cwojce kupno, i wymienił kwotę, w porównaniu z zoidem żołnierskim kaprała wcale pokaźną, ale spotkawszy się z odmową, więcej swojej oferty nie ponawiał.

Z Bradley'em grywali w szachy w jego kancelarii w baraku, na stole obłożonym teczkami papierów i w lekkim pomroku środków desynfekcyjnych, późnym popołudniem, kiedy bieg zakończonych już spraw urzędowych nie mógł im zakłócić medytacji. Ich stosunek ułożył się wcale koleżeńsko choć na początek i zakończenie każdej wizyty Cwojka potrasakiwał trochę obcasami, co mu zresztą nie bardzo wychodziło, gdyż nosił przepisowe lekkie półbuty i pończochy pod kolana.

Bradley był z zawodu nie ukończonym medykiem, lat najwyżej dwudziestu siedmiu, łatwym w obejściu i nie wyróżniającym się żadnymi szczególnymi cechami. Dość wysoki, szczupły, zachował uśmiech studenta Oxfordu, choć służąc w armii od początku wojny widział już niejedną jatki. Cwojka za to był lepszym szachistą. Po sakramentalnym: — Won't you sit down — siadał przeważnie twarzą do okna wychodzącego na plac kompanijny, o tej godzinie pusty. Mówił mało, wstydząc się swych nieporadności językowych, ale chętnie słuchał. Po dwóch, trzech partiach przy kawie, której George spijał niezmiernie ilości, zaczynał on opowiadać, zadowolony, że ma do kogo głowę otworzyć. Po-

ufalenie się z podwładnymi, w dodatku kolorowymi, było w jego położeniu — jedyne reprezentanta Imperium — zupełnie niemożliwe. Lubili ich jednak i cenili jako żołnierzy i najchętniej im poświęcał swoje tyrady.

Gurkhowie! Co to było za plemię! — Ty myślisz, że my ich znamy? Nie znamy ich. Ja siedzę na tych dwustu czerniuchach z dwoma felcerami na czele, którzy mają wiedzę medyczną równą mojej, jakbym siedział na pokrywce garnka z rozżarzoną węglą. Kręcę się i nic nie wiem. Teraz są naszymi sprzymierzeńcami, ale kto ich tam przejrzy! Wydał mi się, że kult rodziny królewskiej, to najsilniejsza na razie nasza więź kombatancka.

Potem przechodził do przykładów. — Posłuchaj... Pewnego razu udzielałem jednemu z moich sanitariuszy pochwały za nie lada naprawdę pracę, dwadzieścia godzin bez przerwy w ciężkich warunkach. Preżył się i przyjmuję to z kamiennym spokojem, jakbym mówił do kogoś innego. Orientuję się, że nie rozumiem motywów mojego postępowania, gdyż język zna doskonale. Pytam więc w tonie bardziej familiarnym, co go skłania do takiego poświęcenia ponad miarę obowiązków służbowych. Preżył się jeszcze bardziej; odpowiada z tym samym spokojem. On musi być dobrym żołnierzem. O'herwise King George won't smile! W przeciwnym razie król Jerzy by się nie uśmiechał!

Cwojka widywał Gurków w polu, ale z bliska najczęściej przez okno kancelarii Bradley'a. Średniego wzrostu, szczupli i żyłści, o skórze twarzy błyszczącej i opiętej jak na bębnie, z międłami ocznymi i okolicznymi nosami — wyraźnie zdradzała w rysach swoje hinduskie pochodzenie. Mundur leżał na nich schludnie i elegancko, broń błyszczała jak wyczyszczone instrumenty chirurgiczne.

Podczas którejś z rzędu wizyty Antoni czekając na posunięcie Bradley'a zobaczył na placu kompanijnym maszerującego tam i na powrót żołnierza w pełnym uzbrojeniu i zapiętego pod szyję. Plac skąpany był w poździe słońca.

— Co on tak chodzi? — zapytał. — Mnie się niedobrze robi z samego patrzenia.

— Ech, nic. Dostał ode mnie dwie godziny karnego marszu. Nie przejmuj się. Potrafił tak cały dzień. Chcesz, to ci jeszcze coś o nich opowiem.

Przerwali grę i Bradley dolał kawy z dzbanka. Lubili, żeby go jeszcze cokolwiek zachęcić, więc Antoni wtrącił: — Say me this new story, please. — Bradley uśmiechnął się; tak, teraz było wszystko w porządku.

— Listen... Colonel William Mac Coney pełnił w tym rejonie, tylko trochę bardziej na wschód w kierunku Eufratu, funkcję generała brygady złożonej z samych Gurków; był zatem mniej więcej w tym samym położeniu, co ja teraz. Początek 42-go, was tu jeszcze wtedy nie było. Paskudny okres dużej aktywności Niemców na froncie egipskim, którzy chcieli wziąć deltę Nilu w dwa ognie, jak w kleszcze, regularną armią od strony El-Alamein i arabską irredentą od wschodu, z naszych pozycji. Nasylali dywersantów, zrzucałi sprzęt... Nagle rozchłodził się wieść, że w okolicach... zaraz, zaraz... miejscowości nie potrafię ci teraz wymienić... nastąpiło wielkie skupienie sił arabskich, partyzanckich. Mają nowoczesną broń ze zrzutów, obozują w gromadzie, będzie ich kilka tysięcy, i strasznie wieceją! Nie wiadomo, co z tego wyniknie. A tu nafta... Wniosek prosty — trzeba zlikwidować. Mac Coney o trzymuje rozkaz pchnięcia tam swoich Gurków. Transportu żadnego dla całej brygady nie było, tylko konie dla dowódców, zresztą teren był tak welnisty, że obciążone samochody ugrzęzłyby w piachu, a tu czterdzięć mil. Marsz rozpoczął się zaraz następnego dnia o świcie i według obliczeń powinni by stawać na miejscu mniej więcej w dobie późniejszej z rana. Bardzo niedobra godzina dla zaskoczenia nieprzyjaciela i po własnym wyczerpaniu takim marszem...

Bradley spojrzął na szachownicę i powiedział: — Teraz widzę, co powinienem zrobić. Zabrać ci po prostu wieże. — Zrobił to ku anabrobacemu potakiwaniu partnera i powrócił do opowiadania.

...Oddziały są wyposażone tylko w lekkie karabiny, a muszę ci powiedzieć, że Gurkowie w linii używają jeszcze oprócz naszych automatów swojej broni narodowej, krótkich płaskich mieczów, większych od bagnetu, mniejszych od pałasza. To sobie zastrzegli, bez tego nie idą do boju. Marsz odbywa się w wielkim tempie, bo ci Gurkowie nie idą, tyl-

ko podbiegają truchcikiem, potrafią tak drażnować cały dzień. Buty u każdego z nich powędrowały do plecaka, a oni boso — śpieszą się jakby ich tam zabawa czekała, nie walka. Pułkownik Mac Coney tańczy na swoim arabszczyku wzdłuż rozrzuconych oddziałów, które wyglądają nie jak armia, ale narodowy bieg na przełaj, i cieszy się: widać, że wbrew obliczeniom przyjdą w środku nocy. Wtem w polowie drogi dogania ich na jeepie kurier dywizyjny z rozkazem odwrotu. Okazało się, że tam przed nimi są znaczniejsze siły, urosły już do trzydziestu tysięcy i zaatakować je w jedną brygadę i to po trudach marszu byłoby szaleństwem. Mac Coney zatrzymuje wszystkie oddziały wysyłając konnych aż do najbardziej wysforowanych na szpicy, a potem dopiero komunikuje rozkaz swemu szefowi sztabu. I tu nastąpiło śpięcie. Gurkha, taki sam jak ci wszyscy bosonodzy, zzieleni żołnierze, tylko na świetnym koniu i w stopniu angielskiego majora, zbladł, o ile to można było poznać po jego cerze, i odpowiedział: — Niemożliwe, w ogóle nie wchodzi w rachubę. Ich religia zabrania im cofać się w boju. — Co? — wrzasnął Mac Coney — mam to rozumieć jako nieposłuszeństwo rozkazom dowódców? Ostatecznie ja odpowiadam za akcję i ludzi, a nie pan! — To prawda, colonel Mac Coney, on szanuje wszystkich dowódców w górę aż do pierwszego obywatela Wielkiej Brytanii najjaśniejszego króla Jerzego VI, ale religia jest ponad ludźmi. Niech pan zresztą, colonel Mac Coney, zapyta pierwszego lepszego żołnierza, czy obróci się do nieprzyjaciela plecami? Oni by mnie tak samo nie posłuchali, jak ja pana. — Mac Coney przeknął to i w paru sekundach ocenił sytuację, po czym odpowiedział: — Dobrze, pójdziemy naprzód. — Nie mogli przecież narazić na szwank swego autorytetu i na wzgardę całego królestwa, ale myśli miał jak najczarniejsze. Kurierowi wytłumaczył swoje położenie i na kartce nakreślił dwa słowa: „jakoś spróbujemy“. Jednak jadąc teraz obok swoich oddziałów poczuł się jak luzak, a nie ich dowódca, mimo formalnego zachowania wszelkich należnych mu honorów. Przed wieczorem biwakowali przez półtorej godziny... Żołnierze nażarli się, a nawet zdrzemnęli na trzy kwadransy. Po czym obudzeni, w najlepszych humorach ruszyli naprzód. Tempo było tak zawrotne, że o pół do drugiej w nocy musieli zwolnić, żeby ostatecznie nie zmylić kierunku albo nie nadzielić się na nieprzyjaciela niespodzianie. Teraz w zupełnych ciemnościach rozpoczęła się akcja na instynkt, której nasz pułkownik zupełnie już nie rozumiał ani nie prowadził. Niemożliwe przecież, aby tak duże skupienie sił nieprzyjacielskich, zorganizowanych prawie jak regularna armia, i to operujące we własnym kraju — w ogóle nie wiedziało o ekspedycji przeciw sobie całej brygady. Ale Arabowie, prawdopodobnie tak samo jak Mac Coney, źle obliczyli tempo marszu Gurków. Fakt, że dali się zaskoczyć w środku nocy, koncentrycznie, i legli wszyscy. W ciągu tych paru godzin Gurkowie prawie bez użycia broni palnej wysieklili swoimi meszetami dwadzieścia siedem tysięcy Arabów, sami ponosząc minimalne straty. Po południu tego samego dnia, po wypoczynku, śpiewając, tym samym co przedtem truchcikiem ruszyli z powrotem do bazy, pozostawiając pobojowisko szkałom i sepom. Zwycięski, ale mocno zafrasowany swoim udziałem dowódca, pułkownik Mac Coney razem z nimi i znowu na czele. Czuli się jak rotmistrz z operetki. Jak o tym powiedzieć w sztabie? Chyba jako anegdotę... No jak ci się to podoba?

Takie historyjki opowiadał co tydzień George Bradley kapralowi Cwojce, a czas umykał niepostrzeżenie, już Boże Narodzenie na karku.

W kompanii saperskiej nic się ciekawego nie wydarzyło, poza tym, że ich kurier Maciek Dobecki znowu rozbił się na motocyklu i chodził teraz monstrualnie oblepiony różo-

wymy plastrami; po wtóre mieli czterogodzinny, na dwie serie podzielony wykład o zgnębności chorób wenerycznych. Maciek był chłopcem z głębokiego Podlasia, który do siedemnastego roku życia nie widział z bliska żadnej maszyny, a w Rosji też nie było pola do uprawiania sportów. W armii więc dopiero dorwawszy się potężnego Indiany, poczuł swoje powołanie i pokazywał co umie. Był to kurier bezwzględnie najszybszy na całym Bliższym Wschodzie, bo jeździł motocyklem „steep-chase“, rów-nie-rów, woda-nie-woda, w poprzek i na przełaj. Wszyscy mu przepowiadali marną śmierć, na co odpowiadał, że owszem, to jest możliwe, ale on inaczej nie potrafi. Co zaś do wykładu o chorobach wenerycznych, odbył się taki w największym namiocie intendenty, a jakże, z przełożeniami, demonstrującymi na jednym wybranym modelu niszczące postępy choroby. Wykładem był kapitan dr Szmuglewski z I Dywizji, który jeździł z aparatem projekcyjnym od jednostki do jednostki niby ksiądz po kweście, żeby trzeźwym słowem i obrazkiem ratować polskich chłopaków przed rozwiązłościami Wschodu. Cóż z tego, kiedy wcale niezły rezultat moralny tej wizyty zepsuł po zakończeniu drugiego wieczoru szeregowy Czesław Mulczyk swoją głośną, publicznie wypowiedzianą enuncjacją. Czesław Mulczyk był to imbecyl zupełnie, który wszystko zawsze rozumiał na opak i zasługiwał sobie na kpiące kiwanie głową — nawet najgłupszych. Ale tym razem, jak wszyscy twierdzili zgodnie, wreszcie mu się coś udało. Po skończonym seansie, kiedy rozbiło się światło i wstawano z ławek z ciężkim sercem, mając żywo w wyobraźni los nieszczęślika, Mulczyk wypowiedział basem — po rozważeniu „za“ i „przeciw“ — następującą refleksję: — Ale co se popierdolił, to se popierdolił. — W trzy minuty potem został wezwany do raportu, ale coś z tego, czar prysł, i dr Szmuglewski mógł wcale nie przyjeżdżać.

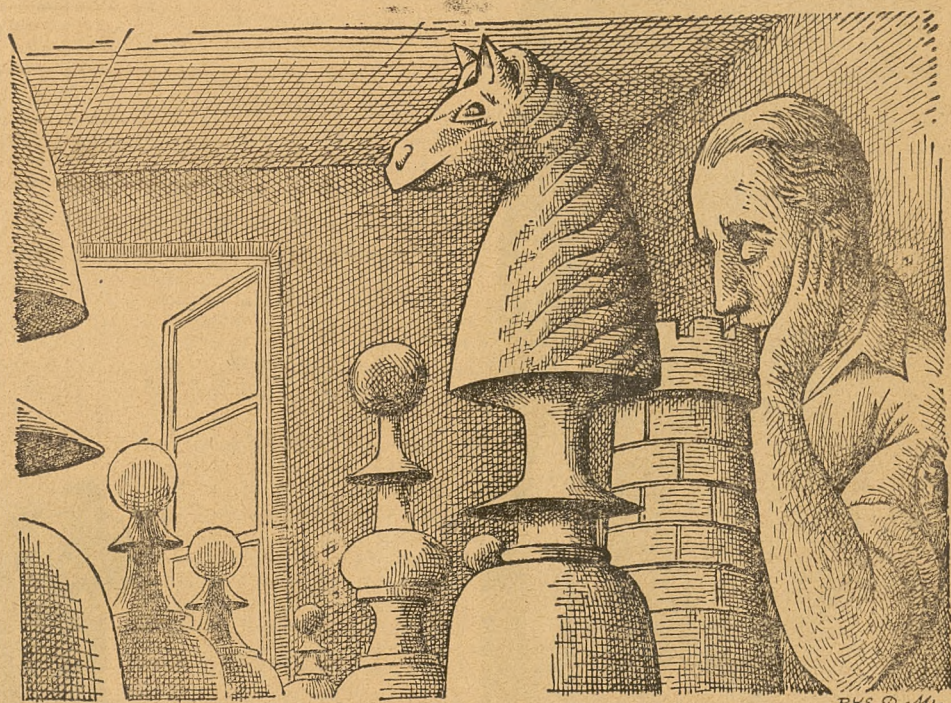
Potem mieli jeszcze wizytację samego generała Andersa, z którego Cwojka, stojąc w czwartym szeregu zobaczył tylko głowę w dużym baskijskim berecie. Po odjeździe generała cała kompania twierdziła, że ich „stary“ jest strasznie podobny do Montgomery'ego, znanego im dobrze z reprodukcji w gazetach. To ich napawało nie lada otuchą.

I już naprawdę święta. Antos Cwojka przyszedł z kompanii ewakuacyjnej szpitalnej wiadomość, że porucznik Bradley otrzymał z domu z Londynu w ekspresowej przesyłce prawdziwą, świeżą choinkę, z kompletem ozdób i świeczkami, i że zjedzie z tym darem w dzień wigilii do nich, gdyż — ma się rozumieć — nie będzie siedział sam ze swoimi Hindusami.

I rzeczywiście przyjechał. Namiot intendenty został opróżniony ze sprzętów służbowych i gęsto zastawiony wąskimi stołami i wieczkami. Pośrodku stała choinka, którą szybko ubrano w polskim stylu angielskimi biskotkami i obleczono we włos anielski. Rozgardiasz panował nieopisany i jak przystało na taką dzień — zupełnie rozluźnienie dyscypliny. Zanim jeszcze poproszono ich do zasiadania przy stołach, ludzie krecili się jak w młynku, podchodzili do drzewka, szczypani z niego po kilka szpilek, rozcierali w palcach i podnosili do nosa. — Oj, Boże! — Bradley ścisnął wszystkim ręce dokoła, nie pamiętając oczywiście z kim się już witał, a z kim nie. — „Merry Christmas, Merry Christmas, Merry Christmas“ — powtarzał uradowany.

Zapalono świeczki na próbę, czy coś się na drzewku nie zaimie od ognia, i wtedy właśnie, kiedy knoty przyjemnie zaczęły trzaskać woskiem i wszyscy stali dokoła z rękami założonymi do tyłu i patrzyli z uczuciem ciepłego rozmarzenia koło serca, na dach namiotu rucił się z szumem pierwszy, ulewny, tropikalny deszcz.

(Dalszy ciąg nastąpi).



DANIEL MROZ

Już wkrótce rozpoczniemy druk powieści
Tadeusza Kwiatkowskiego
„NIE MA ZABAWY BEZ PANA WŁADZIA“
Powieść ta osnuta jest na tle sprawy Mazurkiewicza

PIERWSZY KROK NAD CHMURAMI

(Dokończenie ze str. 1)

Prasa amerykańska (czasopismo „Life”) reprodukowała takie zdjęcia lotnicze Nowego Jorku, aby poglądowo wykazać czytelnikom na czym polega wartość powietrznej inspekcji. Można na tych zdjęciach porachować samochody jadące na ulicach, nie mówiąc już, że widać każdą ulicę, każdy dom.

Widać więc także każdą linię kolejową i każdy pociąg na niej, każdy port i każdy w nim okręt, każde lotnisko i każdy samolot. Wprawne oko eksperta bez większego trudu określi rodzaj i przypuszczalny potencjał produkcyjny sfotografowanej fabryki, zorientuje się w charakterze i przeznaczeniu urządzeń wojskowych. Są oczywiście środki maskujące, ale są też środki, które pozwalają odróżnić np. siatkę maskującą od prawdziwych liści. Zwłaszcza, że gdy oko eksperta dostrzeże coś wątpliwego a interesującego, można przecież zająć się tym obiektem bardzo dokładnie przy następnym locie.

Eksperci dysponujący takim materiałem zdjęciowym jedno będą mogli stwierdzić na pewno: jaki jest strategiczny potencjał objętego kontrolą terenu i jakich niebezpieczeństw można się z takiej strony obawiać. Przy takim wzajemnym wglądzie w „kuchnię” partnera jedno co najmniej staje się problematyczne: możliwość posłużenia się tak „rozpracowanym” terenem jako obszarem przygotowań do niespodziewanego ataku. Nie mówiąc już o tym, że taki „rozpracowany” aż do podszewki obszar łatwo przyszedłby sparaliżować w razie czego odwetowym kontratakiem...

Otóż i sens systemu inspekcji powietrznej, która nie oznacza wprawdzie rozbrojenia, ale zmniejsza obawy wzajemne i możliwość nagłego ataku.

Zaproponował ten system jak wiadomo prezydent Eisenhower na Konferencji Genewskiej w 1955 r. Terenem inspekcji miały być wedle tego planu całe Stany Zjednoczone i cały Związek Radziecki. W tej formie propozycja ta nie miała szans przyjęcia, z czego sobie z pewnością projektodawcy sprawę zdawali. Po pierwsze bowiem — dla bezpieczeństwa ZSRR największe bezpośrednie znaczenie mają nie tyle urządzenia wojskowe na terenie dalekich Stanów Zjednoczonych, ile zagraniczne bazy amerykańskie otaczające ZSRR. Po drugie — zasłona tajemnicy otaczająca znacznie szersze i bardziej istotne tereny ZSRR niż tereny USA, stanowi dla Związku Radzieckiego cenny dodatkowy atut, który pozwala wyróżniać większe techniczno-przemysłowe zaawansowanie Stanów Zjednoczonych. Trzeba się dobrze zastanowić przed wyrzeczeniem się tego atutu.

Nie więc dziwnego, że kiedy Związek Radziecki wyraził po pewnym czasie zgodę na zasadę inspekcji lotniczej (uzupełnioną inspekcją naziemnych grup obserwatorów), ujął w swej kontrpropozycji inaczej zagadnienie obszaru inspekcji. Zaproponował mianowicie aby inspekcją powietrzną objąć nie ziemie macierzyste USA i ZSRR, ale obszar ograniczony, leżący w strefie napięcia międzynarodowego: środkową Europę. Według radzieckiej propozycji, inspekcji podlegałby obszar sięgający 800 km na wschód i 800 km na zachód od granicy w Niemczech, która dzieli kraje paktu atlantyckiego od krajów paktu warszawskiego.

Amerykanie niezbyt chętnie przyjęli ten fakt. Raz dlatego, że przyjęcie za „oś” granicy NRD-NRF byłoby de facto uznaniem podziału Niemiec (powiadali, że owszem, projekt dobry, ale „osią” powinna być granica pomiędzy Polską a przyszłymi zjednoczonymi — oczywiście na warunkach zachodnich — Niemcami). Po wtóre — nie podobało się im, że inspekcja objęłaby tylko wąski pas terenu samego ZSRR, przyległy do polskiej granicy.

Ostatnie rozmowy rozbrojenkowe w Londynie posuwały sprawę znacznie naprzód i zbliżyły poważnie stanowiska obu stron. Przede wszystkim — Związek Radziecki rozwiązał wiele podejrzeń i nieufności godząc się na objęcie inspekcją poważnej części w i a s n e g o terytorium. Mianowicie wschodniej Syberii — w zamian za poddanie inspekcji amerykańskiego terytorium o równej powierzchni na drugim brzegu Pacyfiku, a mianowicie Alaski i zachodnich stanów USA. Amerykanom podobało się, że na szali znalazł się rdzenny obszar radziecki, natomiast nie podobało się, że w zamian za dość jednak pustą Syberię mieliby pokazać Kalifornię. Co się zaś tyczy strefy europejskiej, to nieco na przeciw idei radzieckiej wyszedł rząd amerykański, stwierdzając przez usta Eisenhowera i Dullesa, że jest możliwe utworzenie takiej strefy bez wiązania tego z warunkiem uprzedniego zjednoczenia Niemiec. Strefę tę zresztą USA chciałyby wytyczyć trochę inaczej niż proponuje ZSRR.

Jednocześnie Dulles wysunął sugestię zdaje się wielkiej wagi. Nie wykluczając dyskusji nad strefą inspekcji w Europie, stwierdził, że „region Arktyki i mniej zaludnione obszary, jak również obszary, z którymi nie są tak związane komplikacje polityczne, byłyby lepsze dla podjęcia pierwszego kroku”.

W rezultacie — mówi się powszechnie o wycinku od bieguna Północnego po Pacyfik na południe od Alentów, obejmującym Alaskę z jednej, a Kambatkę i Czukotkę z przyległym kawałkiem Syberii z drugiej strony. Nie naszą jest rzeczą oceniać wartość strategiczną tych terenów, w każdym razie wiadomo, że Arktyka zajmuje w międzykontynentalnej strategii lotniczej coraz poważniejsze miejsce: wiadomo, że najkrótsza droga lotnicza z Moskwy do Kalifornii, wytyczona 20 lat temu przelotami Czkałowa, wiedzie przez biegun i Alaskę.

Jak to będzie — zobaczymy. W każdym razie stwierdzić wypada, że o planach inspekcji lotniczej dyskutują teraz strony zainteresowane bardzo poważnie. Zarówno prasa jak i oficjalne osobistości, aż po Eisenhowera włącznie, podkreślają, że tym razem dyskusja nie ma charakteru propagandowego, ale dotyczy projektów konkretnych i realnych.

Może więc istotnie nadchodzi czas, kiedy nad chmurami zrobiony zostanie pierwszy krok ku wzajemnej kontroli, która stworzy przesłanki dla stopniowego rozbrojenia?

Andrzej Klominek

P.S. Na zdjęciach zamieszczonych na pierwszej stronie widzimy więc strefy, które według propozycji radzieckich objęte byłyby kontrolą z powietrza. Zdjęcia pochodzą z zachodnio-niemieckiego tygodnika „Quick”.

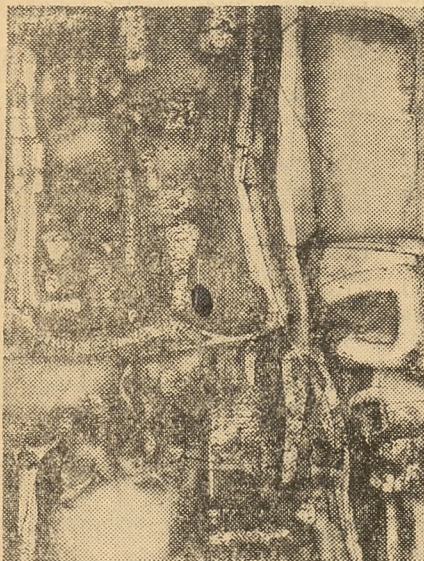


DWIE JOANNY D'ARC:

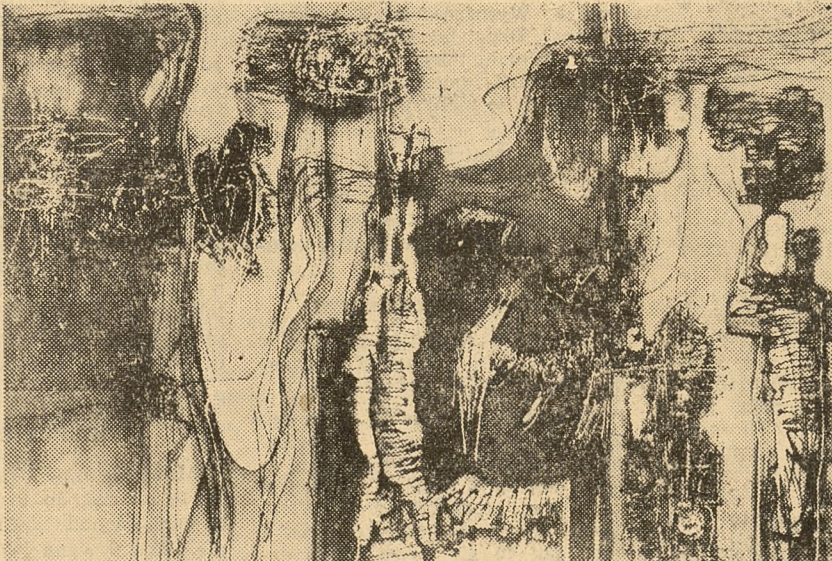
Aktorka Jean Seberg, która gra w filmie o Joannie d'Arc pod medalem przedstawiającym „prawdziwą” Joannę

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH ZAMIESCIMY WYPOWIEDZI WYBITNYCH MALARZY FRANCUSKICH, WŁOSKICH, AMERYKAŃSKICH, POLSKICH I NIEMIECKICH NA TEMAT SZTUKI NOWOCZESNEJ. PONIŻEJ REPRODUKUJEMY OBRAZY JEDNEGO Z MALARZY, KTÓRY ZABIERA GŁOS W DYSKUSJI

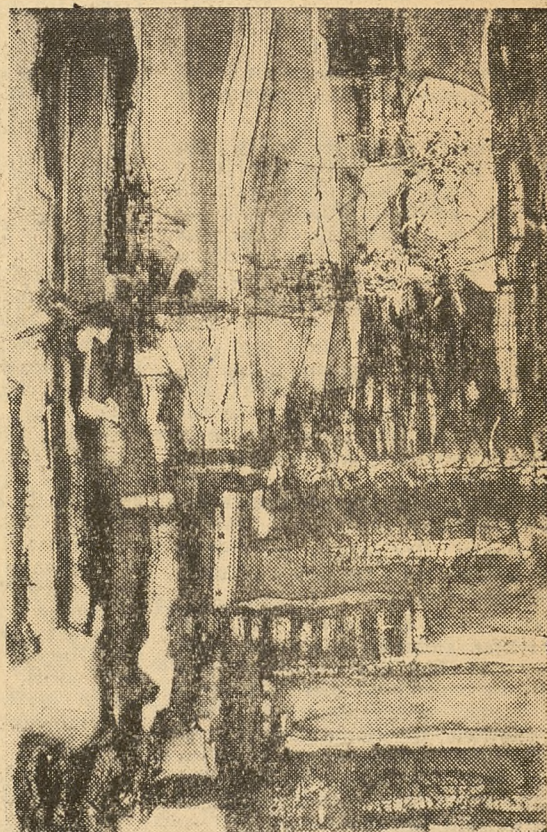
JERZY KUJAWSKI



OSADA NADWODNA



MIASTO, KTÓRE EKSPLODOWAŁO



MIASTO PODZIEMNE

„PORTRET ARTYSTY“

JAMES JOYCE

— Pocałuj mnie — rzekła.

*

„Kaznodzieja uczynił przerwę, złożył na chwilę dłoń, potem rozłożył je i podjął dalej:

„Jezioro ogniste w piekle jest bezbrzeżne, bezbrzeżne i bezdenne. Podobno nawet diabeł, na pytanie pewnego żołnierza, musiał potwierdzić, że góra cała, za wrzuceniem jej do płonącego piekielnego oceanu, spłonęłaby w sekundzie do — cna, jak okrucich wosku. A straszliwy ten ogień nie tylko z zewnątrz dotyka ciała potępionych, lecz każda potępiona dusza stanowi sama w sobie piekło, albowiem bezkresny ogień sroży się w najgłębszych jej zakątkach. Ach, jakże okropny jest los tych nieszczęśliwych istot! Krew kipi i wre w żyłach, mózg gotuje się w czaszce, serce w piersiach żarzy się i pęka, wewnętrzności stanowią czerwoną od żaru masę z płonącego stopu, wrażliwe oczy płomienieją, jak rozżarzone kule“.

*

„Gdy utrudził się dociekaniami istoty piekła na pośród widmowych słów Arystotelesa lub Tomasza z Akwinu, z rozkoszą zwracał się często duchem ku subtelnyim piśmiom Elżbietańczyków. Duch jego, w szacie wątpliwego mnicha niejednokrotnie stawał w cieniu pod oknami owego wieku, przysłuchując się poważnej i swawolnej muzyce lutnistów i głosnemu chichotowi rozpustnych dziewczek...“

*

„Ostatnie słowa Cranly'ego Stefan odczuł jak kwaśny i oszołamiący dym koksu, męczący mu umysł, nad którym jak gdyby wisiały dymowe kłęby.

— Słuchaj, Cranly — rzekł — pytales mnie, co bym uczynił, a czego bym nie uczynił. Powiem ci więc co będę czynił, a czego nie będę czynił. Nie będę służył rzeczy, w którą przestanę wierzyć, bez względu na to, czy będzie się zwała domem, ojczyzną czy kościołem; i będę się starał o wyrażenie siebie w jakiś sposób, w życiu lub sztuce, tak nieskrępowanie, jak tylko potrafię i tak całkowicie jak tylko zdołam, a używać będę dla obrony jedynego oręża, na którego użycie sam sobie pozwolę — milczenia, wygnania i przebiegłości.“

Państwowy Instytut Wydawniczy zapowiada wydanie w serii „Dzieła XX w.“ znakomitej powieści wielkiego pisarza irlandzkiego. Z powieści tej zamieszczamy kilka cytatów:

„Z trudem rozpoznawał własne myśli i powtarzał sobie powoli:

— Jestem Stefan Dedal. Krocze obok ojca, który nazywa się Szymon Dedal. Jesteśmy w Cork, w Irlandii. Cork to miasto. Nasz pokój jest w hotelu „Victoria“. Wiktoria i Stefan i Szymon. Szymon i Stefan i Wiktoria. Same imiona.

Pamięć o dzieciństwie przyćmiła się nagle. Chciał wywołać w pamięci dawniejsze jego chwile, lecz na próżno. Przypominały mu się tylko imiona i daty. Dante, Parnell, Clane, Clongowes. Jakiś chłopczyk uczy się geografii u jakiejś starszej kobiety przechowującej w szafie dwie szczotki. Potem wysylają go z domu do gimnazjum i tam przystępuje do pierwszej Komunii...“

*

„Stał na środku jezdni, a serce hulaśliwie tłukło mu się w piersiach. Jakaś młoda kobieta w długiej, różowej sukni położyła mu dłoń na ramieniu, przytrzymała go i spojrzała mu w twarz. Potem rzekła wesoło:

— Dobry wieczór, Jasieczku!

W pokoju tej było ciepło i jasno. Wielka lalka siedziała z rozłożonymi nogami na obszernym fotelu koło łóżka. Zadawał sobie gwałt, by coś powiedzieć, chcąc wywołać wrażenie, że się nie krępuje, przyglądał się jej jak zniechęcając suknię i obserwował każde śmiałe i harde poruszenie jej uperfumowanej głowy.

Tkwiał w bezruchu na środku pokoju, więc podeszła doń i objęła go radośnie i uroczysto. Przyciągnęła go mocno do siebie gołymi ramionami, on zaś patrząc na twarz jej, wzniesioną ku niemu spokojnie i poważnie i czując spokojny rytm jej ciepłych piersi, o mało nie rozplakał się histerycznie. Czy radości i ulgi błysnęły mu w zachwyconych oczach, a wargi rozwarły się, chociaż nie miał zamiaru wypowiedzieć słowa.

Przegernęła mu włosy rozdzwonioną od bransolet ręką i nazwała go galganem.

UCZENI O CHOROBAH

Czyżby
Lollo
wybierała się
do Polski?

Zamieszczamy poniżej krótkie wywiady z autorytetami amerykańskiego lecznictwa na temat najnowszych osiągnięć w terapii groźnych chorób takich jak: rak, reumatyzm, cukrzyca. Będzie również mowa o rakotwórczym działaniu papierosów oraz o zagrożeniach gruźlicy.

1. O RAKU

Pytanie: Czy wprowadza się jakieś nowe ulepszone metody wykrywania raka?

Odpowiada dr Pearce Bailey, dyrektor Instytutu Neurologii: Jest to metoda opracowana przez uczonych naszego instytutu. Główne role odgrywają w niej: izotop cynku, oraz niezwykle czułe urządzenia elektroniczne. Czułe przyrządy chwytają promieniowanie emitowane przez wrzody w mózgu i doskonale dają sobie radę z odróżnieniem tego promieniowania od promieniowania wysyłanego przez zdrowe tkanki, otaczające wrzód. W ten sposób umożliwiona została precyzyjna lokalizacja rozrastających się wrzodów. Sposób ten przewyższa wszystkie dotychczasowe metody wykrywania wrzodów mózgowych.

Pytanie: Czy palenie papierosów ma istotnie jakiś związek z powstawaniem raka płuc?

Odpowiada dr James A. Shannon, dyrektor amerykańskiego Instytutu Zdrowia: Mogę tylko powiedzieć, że ostatnie badania potwierdzają wyniki badań pierwotnych. Świadcza mianowicie, że istnieje pewien związek między intensywnym paleniem i rakiem, oraz chorobami serca. Niestety, nie umiemy określić precyzyjnie rodzaju tego związku.

Pytanie: Przecież były doniesienia o wykryciu w papierosach jakiejś

substancji, która powoduje raka płuc?

Odpowiada dr John R. Heller, dyrektor amerykańskiego Instytutu Rakowego: Owszem, był dr Buu Hoi z Instytutu Curie w Paryżu. Otrzymał związek chemiczny zwany 3-4-9-10 dibenzpyrenem. Wszystkie zwierzęta, którym ten związek wstrzykiwano dostawały raka. Ale... cały dowcip polega na tym, iż ów związek nie był otrzymany bezpośrednio z papierosów, lecz ze smoły otrzymanej w laboratorium, smoły co do której ktoś kiedyś wyraził pogląd, że jest identyczna ze smołą powstającą podczas palenia papierosów.

Pytanie: Czy są jakieś postępy w badaniach nad wirusami jako ewentualnymi sprawcami raka?

Odpowiedź: Wiemy, że wirusy stanowią przyczynę, czy też jedną z przyczyn chorób rakowych u zwierząt. Można więc przypuszczać, że powodują także wiele chorób rakowych i u człowieka. W Państwowym Instytucie Zdrowia przeprowadza się studia nad użyciem „wirusa APC“ i „wirusa Coxsackie“, które to wirusy wprowadzone bezpośrednio do tkanek rakowatej literalnie wybijają w niej dziury. Niestety, organizm szybko tworzy przeciwciała i efekt działania wirusów jest tylko przejściowy. Obecnie próbujemy skoncentrować wirusy do tego stopnia, aby mogły szybko opanować chorobę i wyeliminować wszystkie komórki rakowate.

2. PIGUŁKI ZAMIAST ZASTRZYKÓW

Pytanie: Czy są jakieś nowe pociesające wiadomości dla ludzi cierpiących na cukrzycę?

Odpowiada dr Floyd S. Daft, dyrektor Państwowego Instytutu Schorzeń Artretycznych i Przemiany Materii: Ostatnie osiemnaście miesięcy to był jeden z najintensywniejszych okresów badań nad cukrzycą w całej współczesnej historii tej choroby. Badania koncentrowały się wokół nowych leków. Obecnie leki te są wypróbowywane. Chodzi o to czy leki te (są to sulfamidy lub związki pokrewne) można bezpiecznie stosować. W ostatnim roku otrzymaliśmy szereg danych co do bezpieczeństwa stosowania tych leków. Jeden z nich, carbutamid czyli BZ-55, daje uboczne efekty tylko w 10 procentach przypadków. Niektóre z tych efektów były poważne. Wycofano go z praktyki klinicznej. Drugi lek tolbutamid jest niezwykle mało toksyczny. Zaledwie jeden procent ubocznych efektów i to bardzo mało niebezpiecznych.

Pytanie: Czy więc ten nowy lek wyeliminuje zastrzyki insuliny?

Odpowiedź: Tak jest. Lek ten zajmie miejsce insuliny u 70 do 80 procent cukrzyków. W pewnych wypadkach jednakże nie będzie skutecznym.

3. WOJNA Z KATAREM

Pytanie: Czy są jakieś postępy w walce przeciwko katarowi i wirusom powodującym zakażenia?

Odpowiada dr Victor H. Haas dyrektor Instytutu Chorób Alergicznych i Infekcyjnych: Poważnym osiągnięciem była izolacja i identyfikacja tzw. „adenowirusów“. Wirusy owe nie powodują, oczywiście, kataru jak to się powszechnie sądzi. Są jednak sprawcami stanu chorobowego, który powszechnie okre-

lamy jako grype. Grypa to naprawdę jedna z ostrzejszych form infekcji dróg oddechowych. Praktyczne badania w tej dziedzinie koncentrowały się nad wytworzeniem szczepionki przeciw tym wirusom i mam zaszczyt donieść o sukcesie. Szczepionki użyto w naszej flocie. Zredukowała ona ilość zachorowań na drogi oddechowe wśród rekrutów o 50 procent.

4. NOWE LEKI PRZECIW REUMATYZMOWI

Pytanie: Jakież?

Odpowiada dr Daft: Od czasu odkrycia kortisonu, w roku 1949 poszukiwaliśmy nowych leków, które byłyby mniej toksyczne a bardziej skuteczne niż kortison i hydrokortison. Około 2,5 roku temu wypróbowaliśmy prednison i prednison — środki blisko spokrewnione z kortisonem. Są one dziś uważane za lepsze od dawnych środków i przeważnie zajęły ich miejsce w leczeniu chorób reumatycznych. W ciągu ubiegłego roku wprowadzono jeszcze dwa nowe leki — bardzo aktywne od prednisonu i prednisonu, a także znacznie mniej toksyczne. Ale wymagają one jeszcze prób przed ostatecznym wyrokiem: czy są naprawdę dobre.

5. GRUŹLICA CIĄGLE NIEBEZPIECZNA

(Mówi się często, że w przeciwieństwie do nas, do Polski, gruźlica w krajach Zachodu została prawie zupełnie zlikwidowana jako choroba społeczna, że w Ameryce, we Francji i w Anglii zamyka się wiele sanato-

riów itd. Prawda okazuje się nieco inna, o czym świadczy odpowiedź na następujące pytanie.)

Pytanie: Czy gruźlica przestała być poważnym problemem?

Odpowiada dr Edward T. Blomquist, kierownik Wydziału Gruźlicy w amerykańskiej Służbie Zdrowia: Dawniej sądziliśmy, że największe niebezpieczeństwo grozi człowiekowi bezpośrednio po pierwszym zakażeniu się gruźlicą, a nie docenialiśmy niebezpieczeństwa wybuchu choroby po zwałczeniu pierwszej infekcji. Obecnie nasze studia epidemiologiczne wykazują jasno, że spora liczba przypadków gruźlicy to przypadki, które wystąpiły długo po pierwszym zakażeniu się chorobą. W Stanach Zjednoczonych około 50 milionów osób dorosłych jest potencjalnie zagrożonych wybuchem choroby, chociaż przeszły pierwsze zakażenie jeszcze w dzieciństwie. Tak więc, chociaż jesteśmy w stanie rozwijać metody zapobiegawcze lub redukujące niebezpieczeństwo poważnych zachorowań, musimy się ciągle liczyć z zagrożeniem gruźlicy jako z zagrożeniem wielkiej wagi przez wiele lat, które nadejdą.

*

Prawdopodobnie po opublikowaniu przez nas powyższych informacji redakcja otrzyma wiele listów od Czytelników z zapytaniami dotyczącymi możliwości leczenia poszczególnych schorzeń w naszym kraju. Na pytania te postaramy się odpowiadać sukcesywnie, prosząc o konsultacje naszych wybitnych uczonych i lekarzy.

Redakcja rubryki naukowej „Zdajeć“

ANGLIA

W porcie londyńskim dwaj arabscy tragarze zwrócili się podczas ostatniego strajku do związków zawodowych o przyznanie im podwójnego dodatku rodzinnego. Na poparcie swej prośby podali, że każdy z nich posiada — jak to nakazuje koran — dwie żony. Prośba nie została uwzględniona, gdyż prawo angielskie nie uznaje poligamii.

*

Jeno Boka skazany został na zapłacenie jednego funta za to, że zabrał z St. James Park jedną z gęsi stanowiących atrakcję ogrodu. Sędziemu tłumaczył, że nie miał złych intencji, pragnął tylko wypić w jej towarzystwie butelkę rumu i „trochę porozmawiać”.

*

Ostatnio założono w Londynie „Klub Jednometrowych”, do którego należeć mogą niewiasty do 30 lat życia o obwodzie biustu 1 metr. Włoszki naturalizowane w Anglii nie mogą być członkiniami klubu z powodów... konkurencyjnych.

EGIPT

Kolekcjonerzy amerykańscy rozpoczęli pertraktacje z muzeum kairskim o nabycie skarbu Tutankhamena.

FRANCJA

W Wersalu tramwaje zostały zastąpione przez autobusy. W ostatnim dniu przewoziły pasażerów za darmo i odbyły pożełgalną defiladę przez całe miasto.

*

Profesorowie Lejeune i Turpin przedstawili Akademii Umiejętności pracę, w której udowadniają, że młode małżeństwa mają większe szanse na posiadanie synów, aniżeli pary bardziej dojrzałe.

HOLANDIA

Na skutek zupełnego wyginiecia mrówek w ostatnich dziesięciu latach, rząd holenderski postanowił sprowadzić z sąsiednich krajów 100—200 tysięcy tych owadów dla ochrony drzew przed pasożytami.

MEKSYK

Prof. Roger Haim odkrył rodzaj grzybów zwanych „teonanacatl” o własnościach narkotycznych. Wystarczy spożyć porcję teonanacatl, aby wpaść w przepiękne sny o nadzwyczaj żywych barwach.

NIEMCY

Dwaj niemieccy lekarze opracowali nową metodę diagnostyki. Polega ona na pobraniu trzech kropli krwi z palca pacjenta, rozpuszczeniu jej w wodzie destylowanej i dodaniu chlorku miedzi. Analiza wytrąconych kryształków pozwala na bezbłędne określenie rodzaju choroby.

*

Albert Zinner lat 72 kazał sobie na cmentarzu w Schwandorf zbudować obszerny grobowiec z werandą i tarasem na dachu i przeniósł się tam z łożkiem, książkami i kolekcją znaczków pocztowych. Władzom miejskim, które chciały go stamtąd usunąć, odpowiedział, że nie istnieją przepisy, zabraniające zamieszkania w grobie zbudowanym za własne pieniądze, na zakupionym przez siebie terenie.

MONTE CARLO

„Deo Juvante” jacht ks. Rainiera został sprzedany pewnemu milionerowi francuskiemu. Mówią, że statek ten, na którym księstwo spędziło miodowy miesiąc, będzie używany w tym samym celu dla miodych par małżeńskich.

SYJAM

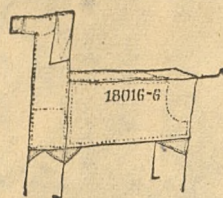
Markietanka jednego z pułków została wypędzona z armii, gdyż zmuszała żołnierzy do „wyłączających czynności poza służbą”, grożąc im zmniejszeniem racji żywnościowej w razie nieposłuszeństwa. Nie sprecyzowano tylko o jaki rodzaj „czynności” chodziło.

SZWAJCARIA

Jak stwierdza statystyczne biuro szwajcarskie, najkosztowniejszym parlamentem europejskim jest francuski, a najtańszym holenderski.

*

Poczta szwajcarska wprowadziła datownik pocztowy z wezwaniem do powstrzymywania się od konsumpcji napojów alkoholowych. Ustalono jednak, że nie będzie on używany do korespondencji producentów i dystrybutorów win i trunków.



WŁOCHY

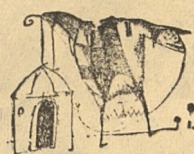
Po 40 latach niebывale żmudnych studiów wybitny grafolog francuskanin O. Girolamo Moretti ogłosił rewelacyjne wyniki swych badań nad charakterem świętych kościoła katolickiego. Rezultaty tej pracy daleko odbiegają od tego, co do tej pory wiedzieliśmy o tych sprawach. Np. św. Katarzynę charakteryzuje Moretti jako kobietę lubiącą sporty, która mogłaby śmiało stać na czele kompanii żołnierzy. U św. Filipa stwierdził skłonności do sadyzmu i skapstwa. Z 58 badanych w ten sposób świętych zaledwie u trzech nie znalazł prawie żadnych skaz na charakterze.

J. P.

„WOMEN FIRST”

„Sowietskaja Kultura” pisze: „Kobieta powinna coraz bardziej wyzwalać się od ciężkiej pracy fizycznej. Ta troską nacechowana jest polityka naszego państwa. Pragnęliśmy wykonać psychologię pracującej kobiety, jej wymogi w stosunku do otaczających ją towarzyszy pracy, jej pragnienia — bez względu na okoliczności — pozostawiania zawsze kobietą. Kobiety zasłużyły sobie na uprzywilejowane stanowisko. One na pewno nie pogńiewają się, jeżeli mężczyźni będą uprzejmi i grzeczni”.

*



NA SPRZEDAŻ

Wystawiono na sprzedaż 15-akrowy majątek z 23 pokojową willą. Był to niegdyś dom wakacyjny prezydenta Roosevelta. Oto reklamowe ogłoszenie sprzedaży: „Prawdziwie muzealne eksponaty. Gabinetowy fotel Roosevelta oraz jego dziecięce rysunki. Świetna okazja do stworzenia pamiątkowego muzeum, podtrzymującego na duchu”.

RADA PAPIEŻA

Papież poradził byłej aktorce Grace Kelly, obecnie księżnej Monaco, która złożyła wraz z małżonkiem wizytę w Watykanie, aby miała dużo dzieci „dla dobra ludu monakijskiego”.

TROSKLIWOŚĆ?

Kwietniowy numer amerykańskiego czasopisma „US News” donosi: „Mr Eisenhower podczas 90-minutowego spotkania z członkami Kongresu, zakaszał tylko raz, i to lekko”.

PRECZ Z SZARAWARAMI

„Sowietskaja Kultura” z dnia 14 maja br. pisze: „Nie ma nic haniebnego w tym, jeżeli nauczymy się czegoś od obcokrajowców. Chęć i zadzieranie nosa nigdy nie zdobyły człowieka radzieckiego. Osobiście jestem przeciwny nierozumnej przesadzie mody zachodnio-europejskiej, ale jestem zwolennikiem mądrej garderoby, jeżeli jest ona piękniejsza i wygodniejsza, przyciąga uwagę bliźnich i odpowiada dobremu gustowi. Głupio jest pozostawać przy tych samych obszernych szarawarach, które wyszły już z mody, podporządkowywać się nieroztropnym krajowym fasonom obuwia, które wykazują najczęściej brak gustu oraz oszpecać figurę niewygodną, brzydką garderobą”.



WYTWÓRNI STRACHU

Pewna wytwórnia hollywoodzka utworzyła próbną komórkę zwaną „departamentem monstrów”. Ma ona na celu produkowanie tzw. strasznych filmów.

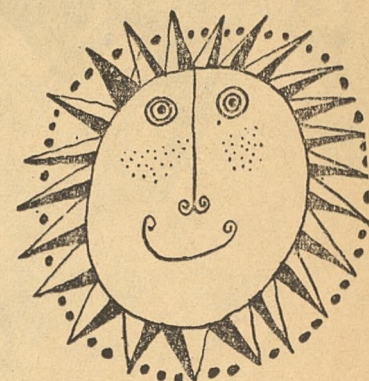
Czasopismo filmowe „Cine-Monde” podkreśla, że w wytwórni tej przygotowywane są zarówno nowe arcydzieła, jak również ulegają modernizacji stare filmy, celem stworzenia jak najbardziej efektywnego „monstrum”.

Człowiek-wilk i człowiek-tarantula, kobieta-meduza i kobieta-lisica, mumie egipskie, potwory pod względem fizycznym i moralnym, a także „szeregowi” truposze, dość tłumnie wędrują po ekranach kin amerykańskich i Europy zachodniej. Czynny tych patologicznych bohaterów filmowych odpowiadają ich cechom zewnętrznym. Przeważnie dokonują mordów. Tak np. bohater filmu „Ręka mumii” — zmartwychwstała mumia egipskiego kapłana — „zlikwidowała” około 10 osób zanim dotarła do właściwej swej ofiary — przepięknej dziewczyny. Dziewczyna ta znalazła się w objęciach kapłana zamienia się również w mumie na oczach przerażonych widzów.

Należy podkreślić, że praca aktora przy produkcji „strasznych” filmów jest niezwykle ciężka: charakteryzacja trwa godzinami, ciało zwiazywane jest bandażami przesiąkniętymi specjalną substancją cementującą, utrudnione oddychanie itd.

I pomyśleć tylko, że wszystko to dzieje się po to, aby widzowi włosy stanęły dęba, a widza o słabych nerwach przyprawić o zemdlecie.

M. K.



Skromność

„Należę do twórców, którzy nigdy nie będą w pełni zadowoleni ze swego dzieła. Zawsze wydaje mi się, że mógłbym stworzyć coś lepszego, że tym razem jeszcze nie wypowiedziałem się w pełni”.

(Cytat z wypowiedzi reżysera Bohdziewicz z „Przemianach” katowickich z dnia 19 maja. Rozmowa z Bohdziewiczem toczyła się na temat „Zemsty”, której nie widzieliśmy na naszych ekranach i nie wiadomo czy w ogóle zobaczymy).

Doświadczenie

„Włosi są urodzonymi aktorami i bez przesady mogą powiedzieć, że niemal każda Włoszka może być aktorką, czego niestety nie można powiedzieć o Polkach” — mówi reżyser Bohdziewicz w wywiadzie udzielonym „Przemianom”. A za chwilę na inne pytanie odpowiada: „Stworzyłem w życiu tak mało filmów, że trudno mi się wypowiedzieć w sposób kategoryczny”.

Spokojna noc

Amerykanka pani Katarzyna Ferrell, matka siedemnastoletniej córki, aresztowana w nocy za kradzież 78.75 dolarów, oświadczyła sędziemu po spędzeniu nocy w areszcie: „Wyspałam się dobrze po raz pierwszy od 20 lat”.

Uwaga bezrobotni

Biuro spraw personalnych stanu Wisconsin w USA oferuje 325 dolarów miesięcznej pensji za sezonową posadę „inspektora cienia drzew”.

Nie wolno wyjść w prapry

W Pittsburghu niejaki Fred Collins został zasądzony na 4—8 miesięcy obozu pracy za kradzież 78.75 dolarów. Forse świsnął mianowicie swemu koleźce, z którym zamieszkiwał wspólnie celę więzienną.

Bestsellery

W Londynie sir John Simpson, kierownik księgarni Jej Królewskiej Mości oświadczył na handlowym zebraniu, że najlepiej idą następujące pozycje księgozbioru: „Ilustrowany katalog pcheł”, „Koskie muchy w rejonie Etiopii” oraz „Życie seksualne słoni morskich”.



Skarb Mussoliniego

Proces o spadek po Mussolinim wywołał podobny oddźwięk polityczny w całych Włoszech jak proces w sprawie Wilny Montes, Oskarżenie o przekupstwo obejmuje szereg osobistości znanych we włoskiej dyplomacji.

Pomnik Mariny

Przed jednym z nowobudujących się domów w Mediolanie stanie posąg Mariny Vlady. Francesco Messana, który uparł się wykonać ten pomnik rozebranej aktorki twierdzi, że będzie on na pewno znacznie trwalszy od filmów, w których grała aktorka. Vlady jest innego zdania. Przysięga, że nigdy nogą jej nie stanie w Mediolanie w pobliżu ulicy gdzie wznosić się będzie pomnik.

OPOWIADAMY SNY

Człowiek przesypia niemal połowę życia. Podczas snu przeżywa nieraz fantastyczne przygody, realizuje najśmielsze marzenia, przechodzi najstraszliwsze tragedie. Sny są jakby drugim życiem człowieka, jakże podobnym do tego co się dzieje w rzeczywistości i jakże zarazem niepodobnym. Nie mamy zamiaru w tej rubryce, którą dziś otwieramy, bawić się w sennik egipski, ani po Freudowsku interpretować snów. Pragniemy tylko poświęcić trochę miejsca na relacje ze snów. Może kiedyś jakiś uczony posufladkuje te relacje i wyciągnie z nich jakieś niezwykle poważne i odkrywcze wnioski, może... nie, nie o to chodzi. Chodzi o odrobinę zabawy. O nic więcej. A więc zaczynamy. Dziś przeczytacie sprawozdanie ze snu jednego z naszych Czytelników. Czekamy na listy z relacjami także i o Waszych snach. Zobaczymy, które będą najbardziej interesujące. Takie wydrukujemy w tej rubryce i oczywiście zapłacimy za nie honorarium. Będzie to chyba pierwsza na świecie zapłata za sen. Czytelnicy, czekamy na Wasze sny. Prawdziwie! Proszę nie zmyślać tylko relacjonować uczciwie. Na oszustwie sennym łatwo można się poznać.

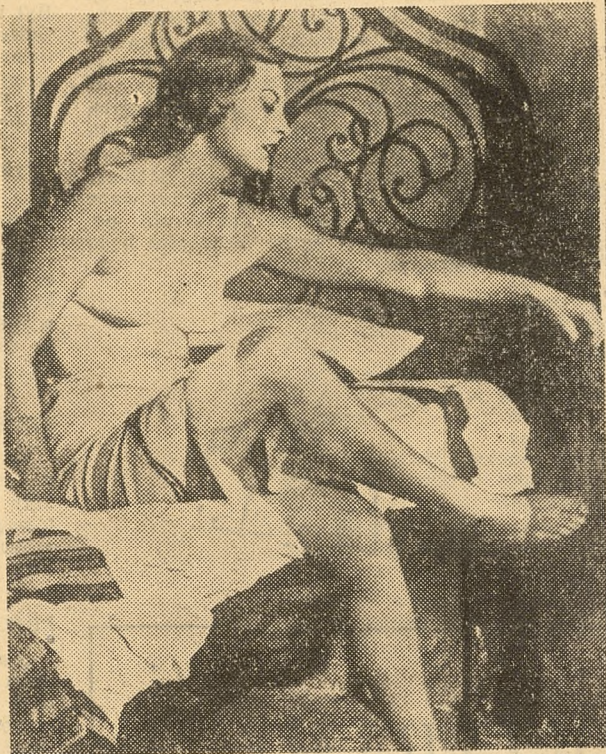
KRATY

Dowiedziałem się, że zbrodniarze już objęli władzę i od razu znalazłem się w sali o bardzo białych ścianach wykładanych po rogach czarnym, kutym żelazem. A w ogóle ta sala musiała być urządzona przez artystę. Nawet klatki żelazne, porozrzucone po podłodze w pozornym nieładzie doskonale harmonizowały z barwą i atmosferą tej sali. Było jasno, choć nie dostrzegłem żadnego okna, żadnych otwartych drzwi. Spodziewałem się, że zbrodniarze zaraz wejdą w swych spiczastych czapkach otoczonych błękitem. Ale nie. Zamiast nich ukazał się olbrzym cały zakuty w zbroję. Twarz miał zakrytą przyłbicą. W ten sposób będą mnie dręczyć: skazali mnie na walkę z tym potworem — pomyślałem. I skoczyłem ku kominkowi, gdzie mój mały syn przypiekał dzidy, którymi mogłem godzić w potwornego rycerza. A ten już siedł ku mnie ze swym krótkim mieczem. Uśmiechał się choć nie widziałem jego uśmiechu. Na pierwszej z brzegu klatce wisiał niezwykle ciężki łańcuch. Porwałem go i walczyłem z całym zamachem w potwora. Nie wiem skąd znalazłem tyle sił. Ciężar łańcucha był nie do zniesienia. Potwór ugął się pod uderzeniem. Teraz zrozumiałem przeznaczenie porozrzuconych klatek. Chwytał po kolei każdą, starając się na mnie zarzucić. Mówi nie było o dostaniu się pod komin, na którym mój mały syn przypiekał dzidy. Coraz wolniej wywijałem łańcuchem. Potwór zarzucał klatki. Zawsze w ostatnim momencie, gdy już, już żelazne pręty miały mnie otoczyć, zdążyłem uchylić się i zadać mu cios w pancerz. Ten dźwięk. Dźwięk jego pancerza mnie ogłuszał. Dlatego mu się wreszcie udało. Poczulem na swym ciele pręty klatki. Ale nie straciłem przytomności: mogłem policzyć strumyki potu spływającego z czoła i z policzków. Żeby nie upaść uczepliłem się kurtkowo prętów. Wtedy klatka wzniósła się do góry. Nie było już sali, nie było niko. Naokoło niebo i ja sam w tej ciasnej klatce. Przeraża mnie zawsze niemożność wydostania się z zamkniętego pomieszczenia. Ale wiedziałem, że gdy tylko zdołam otworzyć drzwi klatki — wylecę. I będę tak leciał i leciał. I nie wiedziałem co zrobić czy zostać w tej klatce czy lecieć. Bałem się jednego i drugiego. Wstrząs był tak potężny, że się zbudziłem.

Jan Kozidowski
z Krakowa



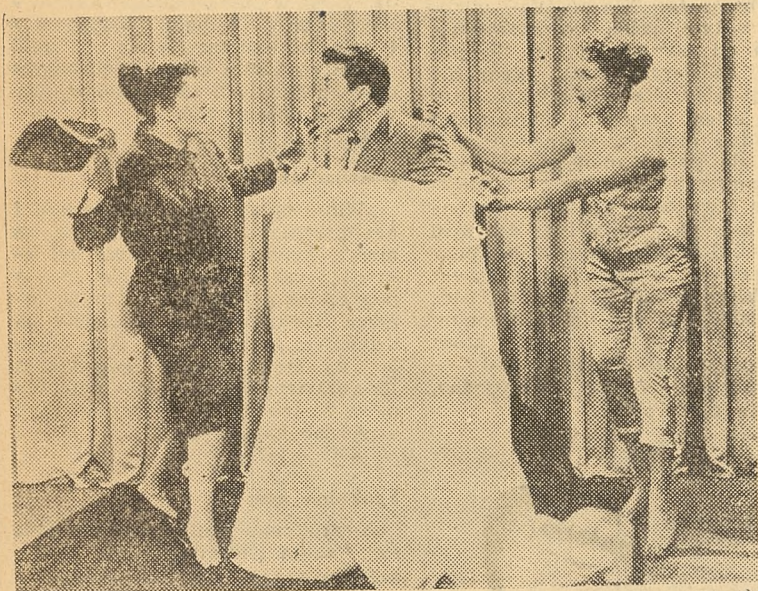
Danielle Darieux zobaczymy w filmie reżyserii Marc'a Allegre'a pt. „Kochanek Lady Chatley”.



Michele Morgan w scenie francusko-mexykańskiego filmu pt. „Odrodzeni”, w którym występuje wraz z Gerardem Philipem.



„Prawo ulicy” — to film francuski o tematyce podobnej jak „Poznał noc”. Występują w nim: znany nam z roli pana „Jo” — Raymond Pellegrin i widoczna na zdjęciu Silvana Pampanini.



Twórca mody, lawirującym między zazdrosną żoną, a niebojętnymi mu klientkami jest Fernandel w komedii pt. „Krawiec damski”.



które zobaczymy

Rolę powojennego „Dyzyny” w kolorowym satyrycznym filmie NRD „Hauptmann z Kolonii”, kreuje Rolf Ludwig.



„Bohaterowie są zmęczeni” to film z udziałem Marii Feliks i Yves Montanda o powojennym spotkaniu słynnych lotników — Francuza i Niemca.



Scena z najnowszej barwnej komedii muzycznej produkcji radzieckiej pt. „Noc sylwestrowa”.

Lista nagród w naszym plebiscycie filmowym

W drugim numerze „Zdarzeń” podaliśmy 15 podobizn najsławniejszych aktorów filmowych świata. W numerze bieżącym zamieszczamy kupon, który należy wypełnić, włożyć do koperty i przesłać na adres Redakcji „Zdarzeń”, Kraków, ul. Wielopole 1. Przypominamy, że w plebiscycie filmowym biorą udział następujące artyści: Elisabeth Taylor, Gina Lollobrigida, Rosanna Podesta, Audrey Hepburn, Jean Simmons, Odile Rodin, Sophia Loren, Micheline Presle, Carrol Baker, Ava Gardner, Marilyn Monroe, Ingrid Bergman, Brigitte Bardot, Dany Carrel, Nicole Courcel.

Nagrody, których listę podajemy poniżej, będą rozlosowane wśród czytelników, których głosy trafnie wytypują zwycięzczyń plebiscytu. Wypełniony kupon należy przesłać do dnia 5 VI br. na adres: Redakcja „Zdarzeń”, Kraków, Wielopole 1. Lo-

sowanie odbędzie się w Klubie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Krakowie przy ul. Szczepańskiej 1 w dniu 7 VI br. (piątek) o godzinie 17. Zaproszenia na uroczystość losowania można otrzymywać w dniach 5 i 6 VI w godzinach od 12 do 15 w biurze Klubu.

A oto lista nagród:
nagroda niespodzianka!
ekspresy kawowe
lampy elektryczne buduarowe
teczki skórzane
portmonetki-portfele
żelazka elektryczne
książki-albumy
komplety szczotek do czyszczenia ubrań
długopisy zagraniczne
ceramika ludowa
Nagrody pocieszenia: fotostudyjki artystek filmowych.

KUPON

WPISAC NAZWISKO
WYBRANEJ AKTORKI

Imię, nazwisko i adres czytelnika

ANTOINE DE SAINT EXUPERY „PILOTE DE GUERRE”

FRAGMENTY NOWEJ KSIĄŻKI SŁYNNEGO PISARZA

M I S J A

— Pośpiesz się... gdzie moje rękawiczki?... Nie... nie te... poszukaj w mojej torbie...

— Nie ma ich, panie kapitanie.

— Głupiec!

Wszyscy głupcy! Ten, który nie umie znaleźć moich rękawiczek i ten tam w sztabie generalnym ze swą zwiariowaną „misją na małej wysokości”.

— Prosiłem cię o ołówek. Dzieciś minut temu prosiłem cię o ołówek... Nie masz ołówka?

— Mam, panie kapitanie.

Nareszcie jeden inteligentny.

— Przyczep do tego ołówka sznurek i zawieś mi go na tym guziku... Co to takiego, nie wygląda wcale żebyś się śpieszył?

— Bo jestem gotowy, panie kapitanie.

— Aha!

A obserwator? Rzucam się teraz na niego:

— Wszystkie w porządku, Dutertre? Nic nie brakuje? Wziął pan namiary?

Tak, panie kapitanie.

Dobrze. Ma namiary. Zakazana misja! Pytam was, czy jest sens poświęcać załogę dla zdobycia wiadomości, których nikt nie potrzebuje i które — jeśli choć jeden z nas ocaleje aby je przywieźć — nie zostaną nigdy nikomu przekazane?

— Powinni zaangażować spirytystów, tam w sztabie...

— Po co?

— Żebyśmy im mogli dziś wieczór połać nasze wiadomości za pomocą wirujących stolików...

Nie jestem zbyt dumny z tego wyskoku, ale jeszcze zrzedzę:

— Sztab... Sztab... Niechby sobie sami polecili na taką zakazaną wyprawę, ci ze sztabu!

Ceremoniał ubierania jest długi, zwłaszcza gdy misja wydaje się beznadziejna; człowiek przydzwiera się tak starannie po to, aby może spłonać żywcem. Nie łatwo jest nakładać tak na siebie potrójną warstwę odzieży, obwieszać się całym magazynem części, które nosi się jak handeles, zorganizować obieg tlenu, ogrzewania, połączeń telefonicznych pomiędzy członkami załogi. Oddech pobieram przez maskę. Gumowa rurka, niezbędna jak pepowina, łączy mnie z samolotem. Samolot reguluje temperaturę mej krwi. Samolot staje się częścią mojego ciała. Dodano mi organy, które w jakiś sposób wchodzi między mnie a moje serce. Z minuty na minutę robię się cięższy, kłopotliwszy, trudniejszy do manipulacji. Obracam się ruchem całego tułowia, a jeśli schyłam się, aby zawiązać sznurówadła lub zaciągnąć odporne zamki, trzeszczą wszystkie szwy. Stare złamania bolą mnie.

— Daj mi inny kask. Mówiłem ci już tysiąc razy, że nie chcę swojego. Jest za mało dopasowany.

Bo sam Bóg raczy wiedzieć dlaczego na wielkiej wysokości czaszka rozszerza się. Kask wygodny na dole, na wysokości dziesięciu tysięcy metrów ścisną głowę jak kleszcze.

— Ale to jest właśnie ten inny kask, panie kapitanie. Zamieniłem go już...

— A... dobrze!

Bo muszę zrzedzić. Mam rację. Wcale się nie wstydzę, że pragnę cudu, który by zmienił tego popołudnia bieg wypadków. Np. defekt laryngofonu. Laryngofony ciągle się psują! To tandeta! Defekt uratowałby nas od tego przekłętego lotu...

Kpt. Vezin łapie mnie z ponurą miną. Kpt. Vezin łapie każdego z nas przed odlotem z ponurą miną. Kpt. Vezin ma u nas za zadanie śledzenie wywiadu lotniczego wroga. Do niego należy informowanie nas o jego ruchach. Vezin to przyjaciel, którego bardzo lubię, ale zły prorok. Żałuję, że go spotkałem.

— Mój drogi, mów! Vezin, to przykre, bardzo przykre!

I wydłaga z kieszeni papiery. Potem, patrząc na mnie podejrzliwie:

— Kórędy leciś?

— Przez Albert.

— No właśnie! Rzeczywiście! O, to przykre!

— Nie wygłupiaj się? Co jest?

— Nie możesz lecieć!

Nie mogę lecieć! Dobry sobie ten Vezin! Niech wyproci u Pana Boga defekt laryngofonów!

— Nie przeleciś!

— Dlaczego nie mam przelecieć?

— Bo są tam trzy ekipy myśliwców niemieckich, które się stale

zmieniają ponad Albert. Jedna na 6.000, druga na 7.500, trzecia na 10.000 m. Żadna nie odlatuje, zanim druga jej nie zmieni. Tworzą zakaz a priori. Wpadasz prosto w sieć. A zresztą popatrz sam!...

I pokazuje mi jakiś papier, na którym są nagryzmolone niezrozumiałe wykazy.

Lepiej by zrobił, gdyby mi dał spokój. Słowa „zakaz a priori” zrobiły na mnie wrażenie. Myślę o czerwonych światłach i przeszkodach. Ale zakaz w tym przypadku, to śmierć. Nienawidzę tego „a priori”. Czuję się osobiście zagrożony.

Za tarawiam się chwilę. Nieprzyjacieli przecież zawsze „a priori” broni swych pozycji. Takie słowa to niedorzeczność... A poza tym nie sobie nie robię z myśliwców. Gdy obniżę lot na 7.0 m, to i tak artyleria przeciwlotnicza mnie strąci. Nie będzie mogła mnie nie trafić! Robię się nagle agresywny:

— A więc zawiadomieś mnie, że mój lot jest bardzo nieostrożny z powodu istnienia lotnictwa niemieckiego. Goń uprzedzić generała!

*

Wszystko gotowe. Jesteśmy na miejscach. Pozostaje tylko sprawdzić laryngofony.

— Dutertre, słyszy mnie pan dobrze?

— Słyszę pana dobrze, panie kapitanie.

— A strzelec słyszy mnie dobrze?

— Ja... tak... bardzo dobrze.

— Dutertre, czy pan słyszy strzelca?

— Słyszę go dobrze, panie kapitanie.

— Czy strzelec słyszy dobrze porucznika Dutertre?

— Ja... tak... bardzo dobrze.

— Dlaczego mówicie wciąż: Ja... tak... bardzo dobrze?

— Bo szukam ołówka, panie kapitanie.

*

Laryngofony są w porządku.

— Strzelec, czy ciśnienie powietrza w butlach normalne?

— Ja... tak... normalne.

— Wszystkie trzy butle?

— Wszystkie trzy butle.

— Gotowe, Dutertre?

— Gotowe.

— U strzelca gotowe?

— Gotowe.

— No to ruszamy.

I startujemy.

*

Trwoga powstaje wtedy, gdy się traci poczucie swej osobowości. Gdy oczekuje wiadomości, od której zależy moje powodzenie lub niepowodzenie, jestem jakby odrzucony w nicość. Jak długo niepewność trzyma mnie w zawieszaniu, moje uczucia i ruchy są tylko maskowaniem się. Czas przestaje tworzyć — jak stopniowo, chwila za chwilą, buduje drzewo — nowego człowieka, którym będę za godzinę. To nieznane „ja” idzie ku mnie od zewnątrz jak widmo. Wówczas to doznaję trwogi. Zła nowina zaś budzi nie strach, lecz cierpienie: to całkiem co innego.

A otóż właśnie nadchodzi moment, gdy czas przestaje uciekać na próżno. Jestem już uplasowany. Nie rzucam się w przyszłość pozabawioną oblicza, nie kusi mnie już ona jak nieznane zjawisko. Od tej chwili zależy już ona ode mnie. Ja jestem tym, który kontroluje kompas, aby utrzymać na nim 313°, tym, który reguluje obroty śmigieł i podgrzewanie oleju. Są to zajęcia bezpośrednie i zdrowe. Takie domowe kłopoty, drobne czynności codzienne, które uprzyjemniają starzenie się. Dzień staje się wygodnie urządzoną kabiną, sprawnymi sterami, dobrym dopływem tlenu. Właśnie kontroluję dopływ tlenu, ponieważ wznosimy się szybko: 6,70 m.

— Dutertre, tlen w porządku? Dobrze się pan czuje?

— W porządku, panie kapitanie.

— Halo, strzelec, co z tlenem?

— Ja... tak... w porządku, panie kapitanie.

— Znaleźliście ołówek?

Do mnie należy też kontrola karabinów maszynowych. A propos.

— Halo, strzelec, czy nie ma jakiegos wiekzszego miasta za nami w polu obstrzału?

— Hm... nie, panie kapitanie.

No to wypróbujcie wasze karabiny.

Słyszę serię.

— Dobrze poszło?

— Dobrze poszło.

— Wszystkie grają?

— Hm... tak... wszystkie.

Strzelam z kolei ja. Zastanawiam się, gdzie padają te wszystkie kule, które się bez skrępowania po oczyszczonej ziemi, że nigdy nikogo nie zabijają. Ziemia jest wielka.

*

Każda minuta przelewa we mnie swą zawartość. Żywię tak mało obaw jak dojrzewający owoc. Zawodne warunki lotu zaraz się zmieniają. Warunki i problemy. Ale jestem już włączony w powstawanie przyszłości. Czas mnie zwolna formuje. Dziecko nie czuje niepokoju, że zwolna rośnie w nim starzec. Ja też się bawię: liczę tarcze, rączki, guziczki, i przekładnie mojego królestwa. Liczę 103 przedmioty do sprządzania, ciągnięcia, obracania, przyciskania (troszkę tylko poszachrowałem, licząc za dwa spust karabinu maszynowego, ale ma przecież bezpiecznik). Dziś wieczór zadziwię wieśniaka, u którego mieszkam. Powiem mu:

— Czy wie pan, ile instrumentów musi dziś pilot kontrolować?

— Skąd mam wiedzieć?

— Nic nie szkodzi. Proszę powiedzieć jakąś liczbę.

— Jaką liczbę mam powiedzieć?

Bo mój gospodarz nie ma za grosz taktu.

— Proszę powiedzieć jakąkolwiek liczbę!

— Śledem.

— Sto trzy!!

I będę zadowolony.

*

Jestem spokojny, gdy te wszystkie instrumenty, którymi jestem obarczony, znajdują się na miejscu i spełniają swe przeznaczenie. Cała ta płatnina rurek i kabli stanowi sieć komunikacyjną. Jestem organizmem rozciągającym się na cały samolot. Samolot powoduje moje dobre samopoczucie, kiedy za przekreśleniem kontaktu ogrzewa się moja odzież i tlen. Tlen zresztą jest za dużo podgrzany i piecze mnie w nos. Dochodzi on przez skomplikowane urządzenia i jego ilość zależy na jest od wysokości lotu. A więc samolot mnie żywi. Wydawało mi się to nieludzkie zanim zacząłem latać, ale teraz, ssąc życie wprost z samolotu, odczuwam do niego miłość synowska, czułość ośeska. Ciężar mego ciała rozkłada się na różne punkty: potrójna grubość nalożonych jedno na drugie ubrań i wielkiego spadochronu naciska na fotel; olbrzymie buciska spoczywają na podporze; ręce w grubych i sztywnych rękawicach, tak niezgrabne na ziemi, operują drążkami z łatwością.

— Dutertre!

— ...tanie!

— Proszę sprawdzić kontakty. Słyszę pana z przerwami. A pan mnie słyszy?

— ...wsze...nie kapi...

Niechże pan potrząśnie tym całym kramem! Słyszysz mnie pan?

Głos Dutertre'a staje się znów wyraźny:

— Słyszę pana bardzo dobrze, panie kapitanie.

— A tlen w porządku?

— Tak, panie kapitanie.

— Strzelec! Tlen w porządku?

Cisza.

— Halo, strzelec!

Cisza.

— Czy pan słyszy strzelca, Dutertre?

— Nic nie słyszę, panie kapitanie.

— Niech go pan zawoła.

— Halo, strzelec! Halo, strzelec!

Cisza.

Rzucam ostro samolotem, aby zbudzić strzelca, jeśli śpi.

— Panie kapitanie!

— Strzelec, to wy?

— Ja... hm... tak...

— Nie jesteście pewni, czy to wy?

— A'ż tak!

— Dlaczegoście nie odpowiadali?

— Robiłem próbę radia. Wylączyłem się.

— To z was typ! Trzeba było uprzedzić! Już miałem obniżyć, myślałem, że nie żyjecie!

— Ja... nie.

— Wierzę wam na słowo. Ale nie róbcie mi więcej takich kawałów! Uprzedźcie na miłość boską przed wylądowaniem!

— Przepraszam, panie kapitanie. Według rozkazu, panie kapitanie. Na przyszłość zapowiem.

Bo defekt w dopływie tlenu nie da się nawet odczuć. Powstaje na skutek niego lekka euforia, która w kilka sekund przechodzi w omdlenie, a w kilka minut — w śmierć. Śmiała kontrola dopływu tlenu jest więc niezbędna, jak i kontrola stanu innych pasażerów przez pilota.

Często szczypaniem rurki doprowadzającej tlen kontroluję jego dopływ do maski, aby poczuć ciepłe tchnienia, które niosą życie.

Słowem, wypełniam mój zawód. Odczuwam tylko fizyczną przyjemność wykonywania czynności pełnych sensu. Nie mam ani wrażenia wielkiego niebezpieczeństwa (byłem w całkiem inny sposób



Grafika J. Wiśniewskiego

niespokojny, ubierając się), ani poczucia poważnego obowiązku. Walka między Zachodem a nazizmem staje się, tym razem i jeśli o mnie chodzi, poruszeniem rączek, przekładni i kurków. Tak to bywa. U kościelnego, miłośca do jego Boga to przyjemność zapalania świec. Kościelny idzie sobie równym krokiem przez kościół, którego nawet nie spostrzeżę i cieszy go zaświecanie kandelabrow — jednego po drugim. Kiedy wszystkie się świecą, zaciera ręce. Jest dumny z siebie.

Ja na przykład doskonale uregulowałem ruch śmigieł i lecę według kompasu, równiutko, bez odchylenia. Dutertre musi się dziwić — jeśli w ogóle patrzy na kompas...

— Dutertre... jak tam kompas... leci się równo... co?

— Nie, panie kapitanie. Zanim pan zbacz. Więcej na prawo!

Tym gorzej!

— Panie kapitanie, przekraczamy linie. Zaczynam zdjęcie. Jaka wysokość u pana?

— 10.000 metrów.

*

— Kapitanie... kompas!

Słusznie. Zboczyłem znów na lewo. Wcale nie przypadkiem... To miasteczko Albert mnie odpycha. Odgaduję je daleko przed sobą. Ale już ciąży na mnie całą wagą swego zakazu „a priori”. Cóż za pamięć

kryje w sobie ludzkie ciało! Pamięta ono wszystkie poprzednie wypadki, złamania czaszki, omdlenia kleiste jak syrop, noce w szpitalu. Obawia się ciosów. Stara się ominąć Albert. Gdy go nie pilnuję, skręca w lewo. Skręca jak stary koń, który na całe życie pamięta miejsce gdzie go kiedyś przestraszyła jakaś przeszkoda. A tu chodzi o moje ciało... nie umysł... I kiedy jestem roztargniony, ciało z tego korzysta podstępnie i bojkotuje Albert.

Bo ja sam zupełnie nie odczuwam czegoś przykrego. Już mi nie zależy na uniknięciu tego lotu. Przed chwilą jeszcze myślałem sobie: „Laryngofony się zepsują. Jestem śpiący. Pójdę spać!” Przedstawiłem sobie to łożo lenistwa w cudownym świetle. Ale tam, w głębi, wiedziałem, że po niedokonanej misji można oczekiwać najwyższej niewygody.

Gdy byłem dzieckiem...

— Kapitanie!

— Tak?

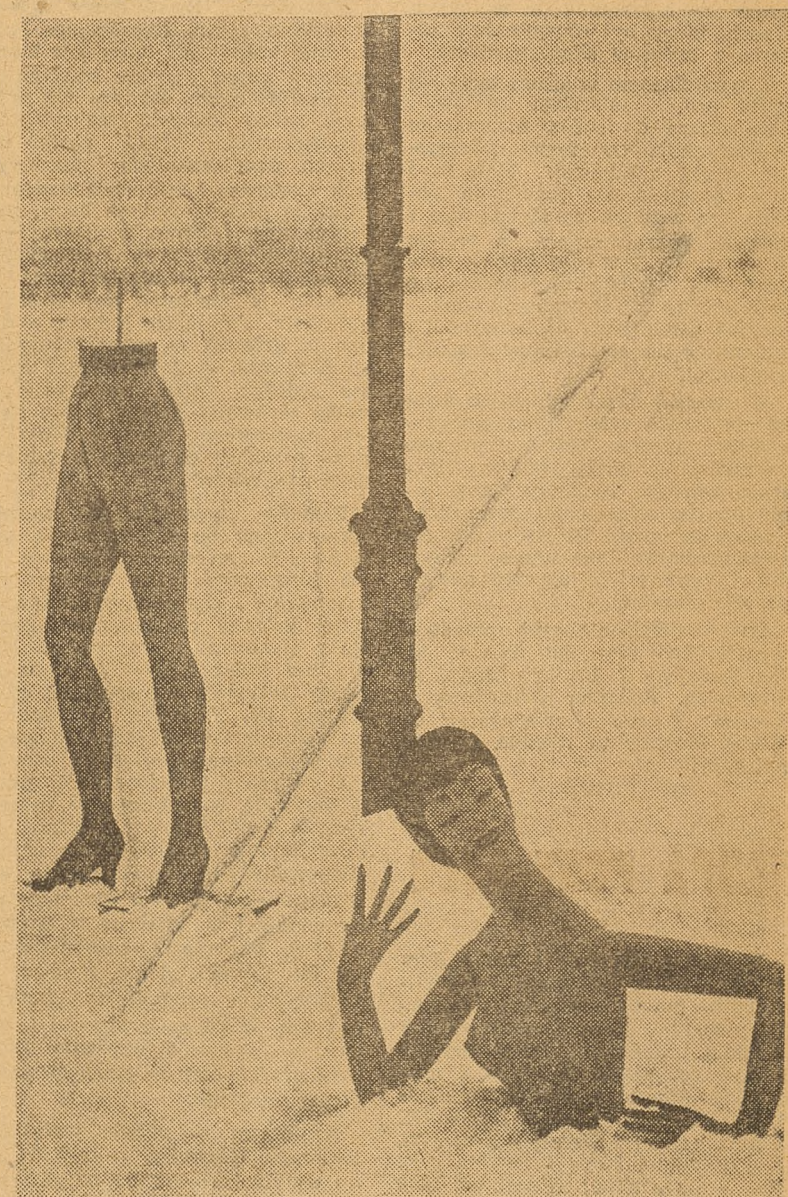
— Sześć myśliwców z przodu na lewo!

To zabrzmiało jak piorun.

Trzeba... trzeba... wolalbym jednak być placony z góry. Chciałbym mieć czas na miłość. Chciałbym wiedzieć, za co mam umrzeć...

Tłum. i wyboru dokonał:

J. Piątkowski



(Dokończenie ze str. 1)

ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

3)

SYMBOLIZM

Pojęcie to przeniesione zostało do malarstwa z literatury, gdzie skryształizowało się z końcem XIX w. Pisarze symboliści — Verlaine, Mallarmé, Maeterlinck — utrzymywali, że „sztuka kopiowania” winna ustąpić miejsca „sztuce transpozycji”. „Nazwać przedmiot po imieniu — pisze Mallarmé — znaczy usunąć z poematu przyjemność jaką daje powolne odgadywanie; sugerować ten przedmiot — oto marzenie. Doskonałe używanie tej tajemnicy stanowi symbol”.

Po raz pierwszy z czysto malarzkiego punktu widzenia postawił sprawę symbolizmu Albert Aurier w artykule „Symbolizm w malarstwie”, ogłoszonym w 1891 r. w „Mercure de France”. „Przybrać ideę w widzialną formę”, oto wg niego cel symbolizmu. „Dzieło sztuki będzie: 1. *ideistyczne*, gdyż jedynym jego ideałem będzie wyrażanie idei; 2. *symboliczne*, gdyż wyrazi tę ideę poprzez formę; 3. *syntetyczne*, gdyż stworzy te formy, te znaki, zgodnie z powszechnym sposobem rozumienia; 4. *subiektywne*, gdyż przedmiot nie będzie tu nigdy rozpatrywany jako przedmiot, ale jako znak idei postrzeganej przez podmiot; 5. (co jest konsekwencją) *dekoracyjne*, bo właściwe malarstwo dekoracyjne... nie jest niczym innym jak manifestacją sztuki zarazem subiektywnej, syntetycznej, symbolicznej i ideistycznej”. Artysta ma więc pełne prawo deformować naturę, stylizować ją, by przy pomocy barw i linii określić w sposób jasny symboliczne znaczenie przedmiotu.

Pierwsze kroki w kierunku symbolizmu postawili prerafaelici w Anglii, Moreau i Redon we Francji, Ensor w Belgii, Klinger i L. v. Hoffmann w Niemczech a w końcu Munch, który był równocześnie jednym z twórców ekspresjonizmu.

Z symbolizmem w sztuce łączy się ściśle tzw. malarstwo „stylowe”, nawiązujące do ruchu zdążającego do stworzenia poprawnej estetycznej sztuki użytkowej. Malarstwo to — zwane u nas popularnie „secesją” ze względu na stylistyczne i ideowe pokrewieństwa z secesją monachijską i wiedeńską — było wynikiem połączenia literackiego symbolizmu z abstrakcyjno-dekoracyjną skłonnością dopasowywania malarstwa do architektury i sztuki użytkowej.

W oparciu o pogląd, że w swej istocie sztuka symboliczna jest pokrewna muzyce (Verlaine) starano się zarówno w poezji jak i w malarstwie wartości anegdotyczne zastąpić bogatą orkiestracją form, linii i plam barwnych. Poeta po pitagorejsku muzyka jako liczba, harmonia i rytm miała użyć swoich praw malarstwu.

Do najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku należeli m. in.: Szwajcar F. Hodler, Anglik A. Beardsley, Holender pochodzący z Borneo Toorop i wiedeńczyk G. Klimt. Możemy tu również zaliczyć nabistów.

GRUPA PONT-AVEN

W 1888 r. Gauguin i Emile Bernard malując wspólnie w Pont-Aven na południu Bretanii stworzyli podwaliny „syntetyzmu”, który stał się programem grupy malarzy skupionych wokół Gauguina w czasie jego pobytu w Pont-Aven i pobliskim Pouldu w latach 1889—1890. Grupa ta — Bernard, Anquetin, Seguir, Laval i in. — istniała bardzo krótko, mniej więcej od 1889 do 1893 r.

Charakterystyczny dla szkoły Pont-Aven był pewien sprymitywi-

zowany klasycyzm, przeciwstawiający się zarówno tradycyjnej sztuce realistycznej jak i impresjonizmowi. Szkoła postulowała w sztuce zasadę statyczności, konstruktywności, monumentalności i intelektualizmu. Malarze z Pont-Aven uważali, że celem malarstwa nie jest bynajmniej wierne odtwarzanie widzialnego świata. Wg nich malarz musi szukać poza zewnętrzną warstwą rzeczywistości pewnego plastycznego symbolu, który będzie miał dla niej większe znaczenie niż jej dokładne odwzorowanie. Malarstwo powinno sugerować pewne wartości ponadmysłowe, pewne idee, przy użyciu środków plastycznych. Artysta ma więc prawo przekształcać rzeczywistość stosownie do swoich potrzeb, zgodnie z tym co pisał Gauguin: „Nie kopiujcie natury. Sztuka jest abstrakcją. Wyprowadźcie ją z natury marząc przed nią”. A w innym miejscu: „Zawsze myślałem, że poetycki świat malarza jest czymś swoistym i nie polega na ilustrowaniu i tłumaczeniu za pomocą form tego, co napisano. Wszystko razem wzięwszy trzeba szukać w malarstwie raczej sugestii niż opisu, jak to zresztą czyni muzyka”. Malarze grupy Pont-Aven szukali nowych środków wyrazu w oparciu o sztukę japońską, archaiczną i ludową. Subiektywna ekspresja, celowa deformacja, daleki od natury, żywy, płasko kładziony kolor, dekoracyjność, oto zasadnicze cechy ich malarstwa, którego podstawą był

SYNTETYZM

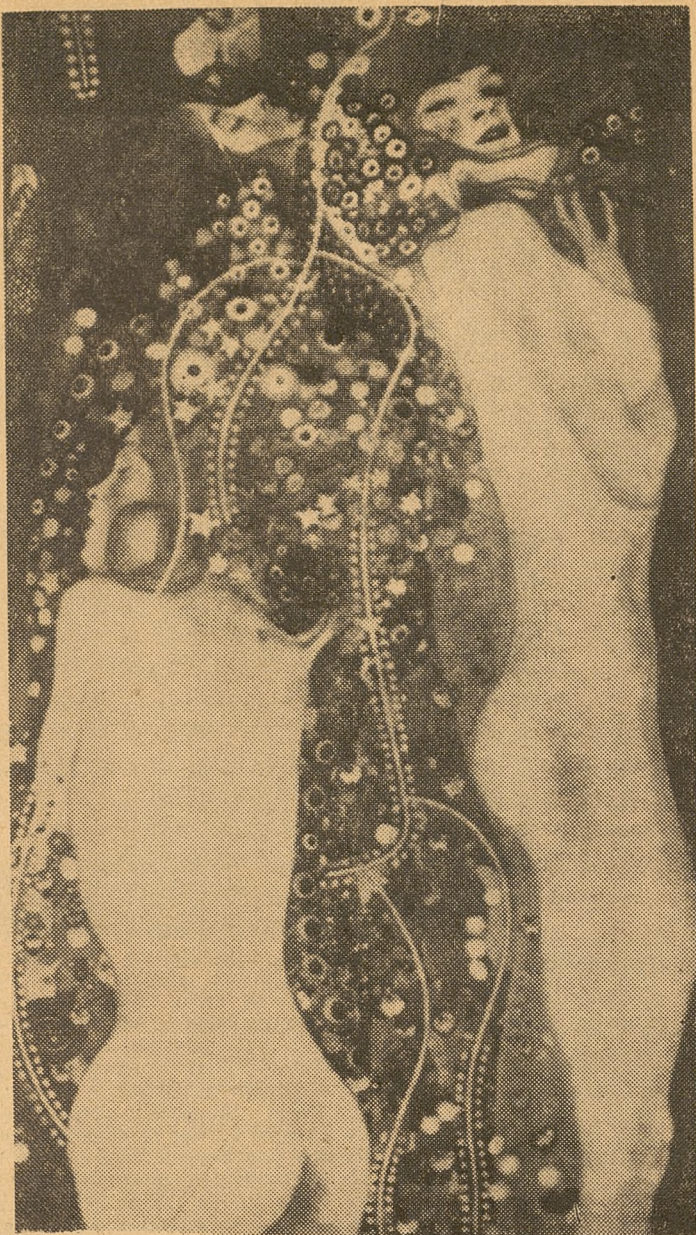
Jego istota to „świadome uproszczanie linii, form i barw mające na celu nadanie ekspresji maksymalnej intensywności przez usunięcie wszystkiego, co mogłoby osłabić siłę jej oddziaływania” (Rotonchampo). Podobnie jak neoimpresjoniści, niezależnie jednak od nich, syntetyści przywiązywali dużą wagę do symboliki linii i barw.

Jednym z podstawowych elementów obrazów „syntetycznych” była ekspresja silnie uproszczonych, surowych linii zaznaczających zasadnicze formy przedmiotów i postaci wyraźnym, grubym konturem, jak to ma miejsce w witrażach, obrazkach z Epinalu, a zwłaszcza w emaliach sporządzanych tzw. techniką „cloisonné”, polegającą na wypełnianiu kolorową masą szklaną pól otoczonych cienką blaszką. Ta dominująca rola konturu sprawiła, że często zamiast nazwy „syntetyzm” używa się we Francji terminu CLOISONNISME.

„Centymetr kwadratowy zieleni w środku sukna bilardowego jest bardziej zielony niż centymetr kwadratowy zieleni wzięty oddzielnie” — pisał Gauguin. Dlatego też pragnąc nadać kolorom maksymalną siłę, syntetyści kładli płasko na dużych powierzchniach zamkniętych konturem kontrastujące ze sobą jednolite plamy czystych barw, będących uproszczonym, syntetycznym odpowiednikiem zarówno barwy lokalnej jak i modyfikującego ją światła, w możliwie największym natężeniu. „W jakim kolorze widzi pan to drzewo? — mówił Gauguin do Sérusiera. — Jest zielone? Proszę położyć zieleni, najpiękniejszą zieleni ze swojej palety. A ten cień jest niebieskawym. Niech pan bez obawy namaluje go możliwie najbardziej niebieskim”.

Kształty przedmiotów zostają sprowadzone do najprostszych rysów, do zasadniczej sylwety, a ich modelunek tylko sumarycznie zaznaczony kontrastowo zestawionymi jasnymi płaszczyznami światła i ciemnymi płaszczyznami cienia bez żadnych przejść, przez co formy zatracają brylowatość, spłaszczają się. Malarstwo „syntetyczne” odrzuca też tradycyjne konwencje perspektywy, dążąc do usunięcia wrażenia przestrzenności przez ukazywanie wszystkiego w pełnym świetle i zlikwidowanie cieni rzuconych przez przedmioty, a przede wszystkim przez podniesienie horyzontu — co sprawia wrażenie jakby ziemia była ukazana w widoku z góry, natomiast występujące na jej tle postacie, domy, drzewa, ukazane są w perspektywie frontальной (tzn. widziane z przodu) i tym samym sprawiają wrażenie jakby były przyklepione do pionowo wznoszącej się ziemi.

Syntetyzm — przede wszystkim twórczość Gauguina — wywarł silny wpływ zarówno na najbliższych mu czasowo nabistów jak i późniejszych fowistów i kubistów z pierwszej epoki.



(SYMBOLIZM) G. KLIMT: WĘŻE WODNE

(SYNTETYZM) GOUGUIN
— FRAGMENT OBZU



LUDEWIK VON HOFMANN
PASTEL



(SYMBOLIZM) ODILON REDON LITOGRAFIA



(SYMBOLIZM) G. KLIMT:
PRAWODAWSTWO

DOBRE POMYSŁY

W Polsce powszechnym zjawiskiem jest narzekanie na różne niedociągnięcia, braki, nonsensy. Nie jest to wynikiem malkontentstwa lecz płynie z gorącej chęci przełamania marazmu, zacofania. W Polsce niemal każdy obywatel ma w zanadrzu dziesiątki zdrowych i cennych pomysłów. Gdyby wprowadzić w życie 1/100 tej cennej inicjatywy, wiele zmieniłoby się na lepsze.

Narzekanie pokątne do niczego nie doprowadzi. Trzeba swymi pomysłami dzielić się publicznie, na łamach prasy. Będziemy takie pomysły publikowali i nagradzali. Za najlepszy pomysł w dążeniu do ulepszenia życia w jakiegokolwiek dziedzinie redakcja „Zdarzeń” przeznacza co tydzień nagrodę w postaci cennej książki.

Pragniemy jednak, by inicjatywa naszych czytelników mogła przybrać realne kształty, ucieleśniać się, bo to będzie największą nagrodą. Pragniemy być pośrednikami między inicjatywą naszych czytelników a wprowadzeniem jej w czyn. Zaczniemy od spraw drobnych, bo te najbardziej komplikują życie. Pomysły muszą być realne, oparte na zdrowych podstawach gospodarczych.



POLEMIKI

„Niech nas nie przeraża mnogość nowych pism”

„Spostrzegłszy za szybą kiosku nowy tytuł pisma („Zdarzenia” — przyp. red.) nie omieszkałam wydać tego ranka nadprogramowej półtorarazówki” — pisze p. St. Czejkowski.

Papierowa powódź nie przeraża go i nie zgadza się z poglądami w tej sprawie naszego felietonisty St. Lema, który „w mnogości coraz to zapowiadanych i (niestety — jak powiada) wydawanych w Polsce dzienników i tygodników widzi (prawdopodobnie) zanik intelektu a w jego miejsce biurokratyczne odfaikowywanie nurtujących społeczeństwo problemów. Ani to lepsze ani gorsze”.

„...ludzie zapragnęli nagle patrzeć nie z jednego punktu widzenia, na oblicze obiektywnej rzeczywistości i bardziej samodzielnie wydedukować prawdę o tym, co czują i co otacza bliznich. Ten wzmagający się pęd ku wymianie ludzkich myśli wydobywa się z tego samego źródła, co przedkilkuletnia mania ogłaszania pamiętników o-piewających chwile spędzane za drutami jenieckich i koncentracyjnych obozów”.

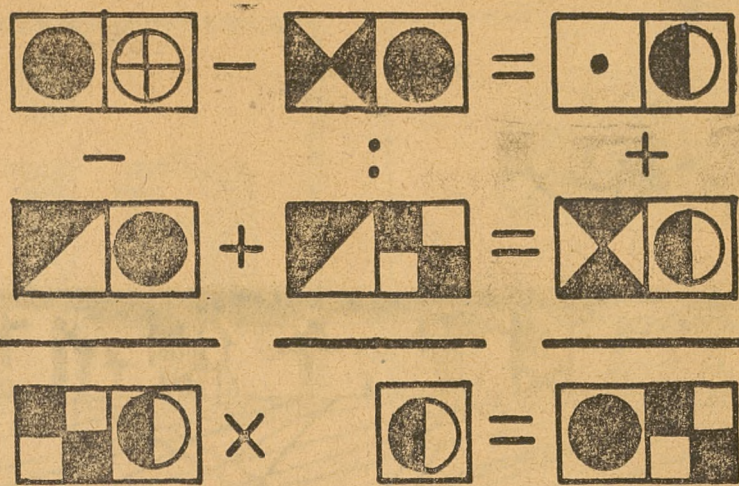
„Wydawajcie więc Panowie te swoje „Zdarzenia” a do współpracy zaprosicie też Wł. Machejka i Stefana K'sielewskiego. Oba mimo pozornej różnicy w kolorach łączu cicha wspólna: dalekowzroczność”.

PROPOZYCJE

Wyjazdy, które nie kosztują

„Na wyjazd za granicę wydaje się zezwolenia wyłącznie dla osób posiadających najbliższą rodzinę — pisze p. T. G. W zasadzie jest to słuszne. Kraj jest bardzo biedny a te wyjazdy pozbawiają nas cennych dewiz. Ale jakie istnieją przeszkody (rzeczadne i przekonujące), aby odmawiać paszportu i tym, którzy mają tam dalszych krewnych lub tylko znajomych, ale którym tamci znajomi opłacą podróż w dewizach. W ten sposób państwo nie dopłaca do tego ani centa. A jednak na takie wyjazdy się nie pozwala — dlaczego?”

Takich „dlaczego” w Polsce jest ciągle wiele. Nasza bieda jest m. in. wynikiem takich nonsensów, w wielu dziedzinach życia. Aby nie kończyło się tylko na narzekaniu, będziemy próbowali nie tylko drukować cenne uwagi naszych czytelników ale i namawiać „drugą stronę” do wprowadzania w czyn dobrych pomysłów.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

Rab. Dowcipy możliwe choć oklepane, wykonanie rysunków słabe. Nie skorzystamy.

Zbigniew Cerefin, Kraków. Tytuł sztuki brzmi: Zaklęty klucz. Nawet Grotesce wolno się pomylić.

Władysław Kawecki, Warszawa Małachowski 2. Drugiego numeru „Homo Dei” trzeba poszukać po księgarniach lub kioskach. W Krakowie już wyczerpany. Można spróbować uzyskać jeszcze w redakcji „Homo Dei”.

P. Zbigniew Cichoń, Kraków Łobzowska 6. Nie możemy bawić się w cenzorów naszych pisarzy. Na pierwszej stronie nie koniecznie musi iść „niła”. Zamieszczając wypowiedź Pirożyńskiego wcale nie traktujemy jej poważnie. A co Pan sądzi o 2-gim numerze i 3-cim?

PORADNIK PRAWNIKA

Zabezpieczenie praw ojca

(Ob. Bronisław Słomka)
Nowy Sącz

„Od 1953 r. nie żyję z żoną, nie mam warunków na wniesienie pozwu o rozwód... Z dziećmi (córką 5-cio letnią i synem 4-ro letnim) widuję się przypadkowo na ulicy. Życie przekonało mnie, że w Polsce Ludowej nie ma zabezpieczonych praw ojca. W jaki sposób mogę uregulować prawnie sprawy widzenia się z dziećmi, nie wnosząc pozwu o rozwód?”

*

Ojciec ma prawo aż do pełnoletności dzieci widywać się z nimi i ma prawo wpływać na ich wychowanie przez matkę, która męża opuściła a rozwodu nie ma. Sprawę należy skierować do sądu opiekuńczego przy Sądzie Powiatowym w Nowym Sączu, który na żądanie wydać powinien decyzję nakładającą na matkę obowiązek umożliwienia ojcu widywania się z dziećmi. Całą sprawę należy przedstawić naczelnikowi Sądu Powiatowego, który udzieli bezpłatnej pomocy prawnej i poradzi, co i jak zrobić.

Dr Groeger Gustaw

ZAGADKA ARYTMETYCZNA

Każdy kwadrat oznacza pewną cyfrę. Jednakże kwadraty odpowiadają zawsze tym samym cyfrom. Zadanie polega na znalezieniu cyfr, które po wpisaniu do pól poszczególnych kwadratów dadzą prawidłowe rozwiązanie zadań rachunkowych (odejmowanie, dodawanie, dzielenie i mnożenie), (OSA)

*

DWA IMIONA — NAZWISKO

1. Karol Maria
2. Gotthold Efraim
3. Jak Sebastian
4. Jan Wolfgang
5. Thomas Alva

N. Wolfgang Amadeusz

W miejscu wykropkowanym należy wpisać właściwe nazwisko. Tak, czy... inaczej?

1. Czy „poliglota” to człowiek, który zawarł dwa małżeństwa?
2. Czy „Nautilus” to imię starożytnego żeglarza
3. Czy „akwedukt” to most nad doliną?

(OSA)

*

NAGRODY w postaci wartościowych książek otrzymują następujący czytelnicy „Zdarzeń”: Marian Rączka, Maków Podhalański, Olga Gryglewska, Kraków, Michałowski 3/2, Irena Chodyńska, Jaworzno, Szelonka 54, Szczegół Hieronim, Kraków, Pl. Sikorskiego 1, Zuzanna Wełna, Kraków, Boh. Stalingradu 7.

Zamiejscowym czytelnikom nagrody zostaną przesłane pocztą. Czytelnicy z Krakowa zgłoszą się w redakcji „Zdarzeń” po odbiór nagród od 29 maja br., Wielopole 1, III piętro.

LUCJAN KYDRYNSKI

DLACZEGO NIE PRZYSŁAŁEM RÓŻ?

I znowu byłem w Wiedniu. I znowu — jak i poprzednio — najbardziej uderzyło mnie to, że będąc w Wiedniu jestem równocześnie w świecie. Będąc w Polsce — niestety pozostaję tylko w Polsce. Mówi się u nas wiele o więzi spajającej narody socjalizmu, o przyjaźni i wzajemnej wymianie doświadczeń. Zawiera się nieustannie umowy kulturalne i handlowe, projektuje się coraz to nowe wymiany bezdewizowe... Otóż więzi te niewątpliwie istnieją, mało tego — są silne i cenne. Ale... dostrzec je można przeważnie tylko na plażach — wyższego porozumienia raczej w strefie państwowo-politycznej niż w sferach kulturalnych, społecznych i przyjemniących życie korzyściach.

Kilkaset kilometrów od nas — sprawa wygląda już całkiem inaczej. Stojąc przed pierwszym z brzegu wiedeńskim biurem podróży można np. godzinami odczytywać projekty wycieczek i podróży zagranicznych, jakie Austriacy mogą odbywać stosunkowo nie tak dużym kosztem. Różnorodność jest tutaj istotnie imponująca. Na Święta Wielkiej nocy — dogodnie pociągi popularne do Wenecji lub Rzymu. Na mecz piłkarski Austria—Francja — specjalne autokary; przy okazji zwiedzenie Paryża. Na wiosnę — podróże turystyczne do Afryki, przez Hiszpanię i Portugalię. W lecie — Sycylia lub Adriatyk na brzegu jugosłowiańskim... Masz więcej pieniędzy? Możeszjechać autokarami i mieć re-

zerwowane pokoje w hotelach I klasy. Masz mniej? Wybierasz wycieczkę pociągiem i wyżywienie w pensjonatach. Nie lubisz podróży nocą? Biuro podróży gwarantuje Ci wycieczkę „Ohne Nachtfahrt”. Masz urlop w lipcu? Są wycieczki w lipcu. Masz w sierpniu? Są w sierpniu. Masz — niestety — w kwietniu? Tym lepiej dla Ciebie. Biuro podróży proponuje Ci pobyt na Riwierze, naturalnie znacznie taniej, bo nie w pełnym sezonie — czysty zysk.

Wśród dziesiątek barwnych plakatów reklamujących piękno krajoobrazu, egzotykę, wygodę, zabytki, słońce, festiwale sztuki itp. całej zachodniej Europy, dostrzegłem także niewielką, tuszem pisaną kartkę: „Podróże do Polski. Możliwość uzyskania wiz w najkrótszym czasie!” „To widocznie wszystko co mamy do zrekamowania w naszym kraju: szybkość uzyskania wiz! Szczegółnie to oczywiście udogodnienie dla Austriaków, którzy do Włoch, Szwajcarii, Francji i NRF w ogóle wiz nie potrzebują... zapewne „Orbis” czy inna powołana do tego instytucja nie znajduje w Polsce nic godnego polecenia cudzoziemcom. Nie ma nawet jednego afisza informującego o Targach Poznańskich! Trudno.

Rzecz jasna, iż szalona łatwość podróży, to nie jedyny objaw brzydkiej prawdy — bo kapitalistycznej — ale bardzo dogodnej łączności Austrii z resztą świata. Przy kupnie samochodu można sobie naturalnie wybrać produkt do-

wolnego kraju. Olbrzymie (ale i drogie) wozy amerykańskie stoją obok francuskich, angielskich czy włoskich, a rekordy popytu bije zachodnio-niemiecki Volkswagen (jedyne to w Austrii, na który trzeba zapisać się i czekać — choć niedługo — w kolejce). Asortyment bynajmniej nie ogranicza się do państw Zachodu. Skody i Wartburgi są również do nabycia — Wartburgi przy realnym przeliczeniu wypadają zresztą znacznie drożej niż na nasze talony.

W Operze Wiedeńskiej narodowości śpiewaków i dyrygentów zmieniają się z każdą premierą. Widziałem „Otella” Verdiego w obsadzie mediolańskiej La Scali (partię tytułową śpiewał najsławniejszy dziś tenor: Mario del Monaco), „Walkirie” ze śpiewaczkami skandynawskimi, kilka spektakli z piękną Lisą della Casa (Szwajcarią) i Iry Malaniuk (NRF), które w tym sezonie są w Wiedniu „na etapie” — oraz z Austriakiem Otto Edelmannem, jeszcze tydzień wcześniej śpiewającym w Metropolitan Opera w Nowym Jorku... Również i publiczność w Operze jest wieczór w wieczór międzynarodowa. Dochodzi do tego, że język niemiecki nieraz ginie w zgłębku angielskiego, francuszczyzny, włoskiego czy nawet — ostatnio — węgierskiego. Na miejscach stojących — wieloiezyczny tłum studentów wiedeńskich szkół muzycznych. Wielka szkoda, że nie ma pośród

nich Polaków. Szkoda przede wszystkim dla naszej kultury muzycznej...

Jest coś wręcz tragicznego w ciągłych jeszcze trudnościach na jakie napotyka się u nas przy wyjeździe do Smokowca, w niemożności nabyć lampy do radia czeskiej produkcji, w kłopotach ze zdobywaniem naukowych książek czy nut drukowanych w NRF. Ustawicznie natrafia się na ów niepotrzebny uciążliwy mur odcinający nas nawet od najbliższych narodów... Kruszyną ten mur cegiełka po cegiełce, lecz do przebicia swobodnego otworu droga jeszcze daleka. A w tym samym czasie, gdy nas spowito izolacyjnym materiałem, łączność kulturalna i handlowa krajów zachodnich przybrała rozmiary przedtem nie notowane. Wielcy artyści świata zachodniego przestali już dawno być artystami jedynie swych państw — ich sztuka należy naprawdę do wszystkich, którzy ją kochają, którzy potrafią ją ocenić. Gdy przyjeżdża dyrygować Stokowski — wiedeńczycy nawet dobrze nie wiedzą czy to Amerykanin, Polak czy Anglik. Stokowski jest ich artystą, znają go, lubią i witają jak kogoś bliskiego. Gdy gra Maria Schell zapomniała się, że jest to aktorka niemiecka. Schell pochodzi przecież ze Szwajcarii, debiutowała w Wiedniu, występuje także w filmach francuskich, angielskich, amerykańskich... Czy to źle? Czy przez to sztuka wynaradawia się? Czy staje się kosmopolityczna?

Nie sądzę, aby to niewątpliwie ogromne zbliżenie kulturalne narodów Zachodu, to przemieszanie nazwisk, ta prowadzona na szalona skalę wymiana, miała wiele cech ujemnych. Nie wynaradawia ona sztuki, przeciwnie — jest prawdziwym, nie utkanym ze sloganów pomostem do lepszego zrozumienia się i poznania najlepszych osiągnięć artystycznych poszczególnych krajów. To, że u nas pensjonarki kochają Gerarda Philipe'a, przyniesie na pewno więcej korzyści niż strat kinematografii francuskiej. I szkoda tylko, że jednocześnie młode Francuzki nie szaleją za Włodzisławem Głińskim. Szkoda, iż naszym twórcą i naszym aktorem dopiero teraz szerzej uchylamy furtki do wielkiej rodziny artystów świata.

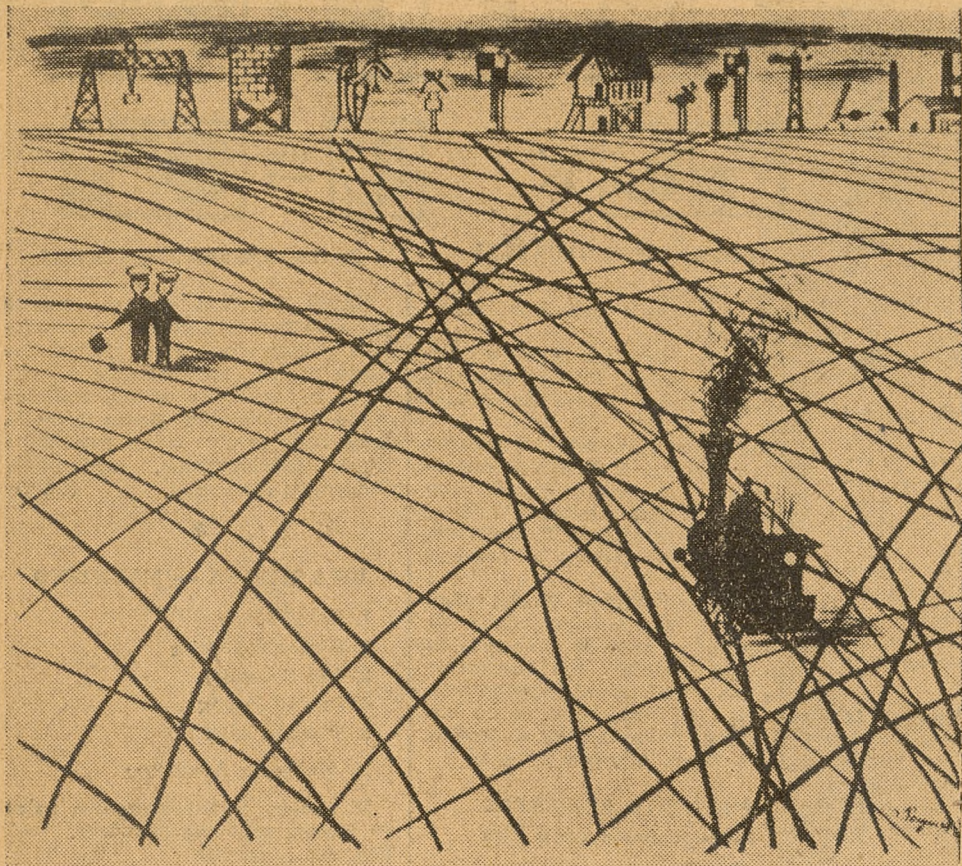
Istnieje w Wiedniu przedsiębiorstwo o nazwie „Fleuropa”. Spotykam jego reklamy na każdym niemal kroku: „Jeśli chcesz przesłać kwiaty swym bliskim, w dniu, w którym przebywasz w innym kraju — zgłoś się do nas! Żądany bukiet dostarczymy o dowolnej porze w dowolnym kraju Europy”!

Ale oczywiście... Europy zachodniej. I dlatego nie przysłałem Wam róż, moi drodzy. Nasza więź z narodami dotyczy bowiem tylko spraw znacznie ważniejszych, bardziej zasadniczych.

Może jednak — i na kwiaty przyjdzie kiedyś czas?



Drwal i poezja.

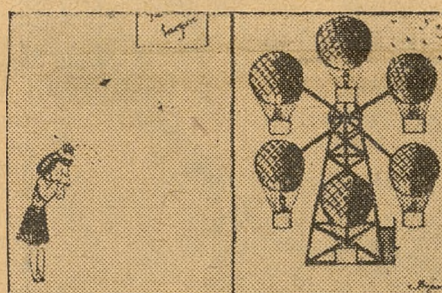


Tu! tu! tu! Ja jestem taka mała loko-
motywa, która prosi o pomoc!



U... u... u... Moja jest cała pokręcona!

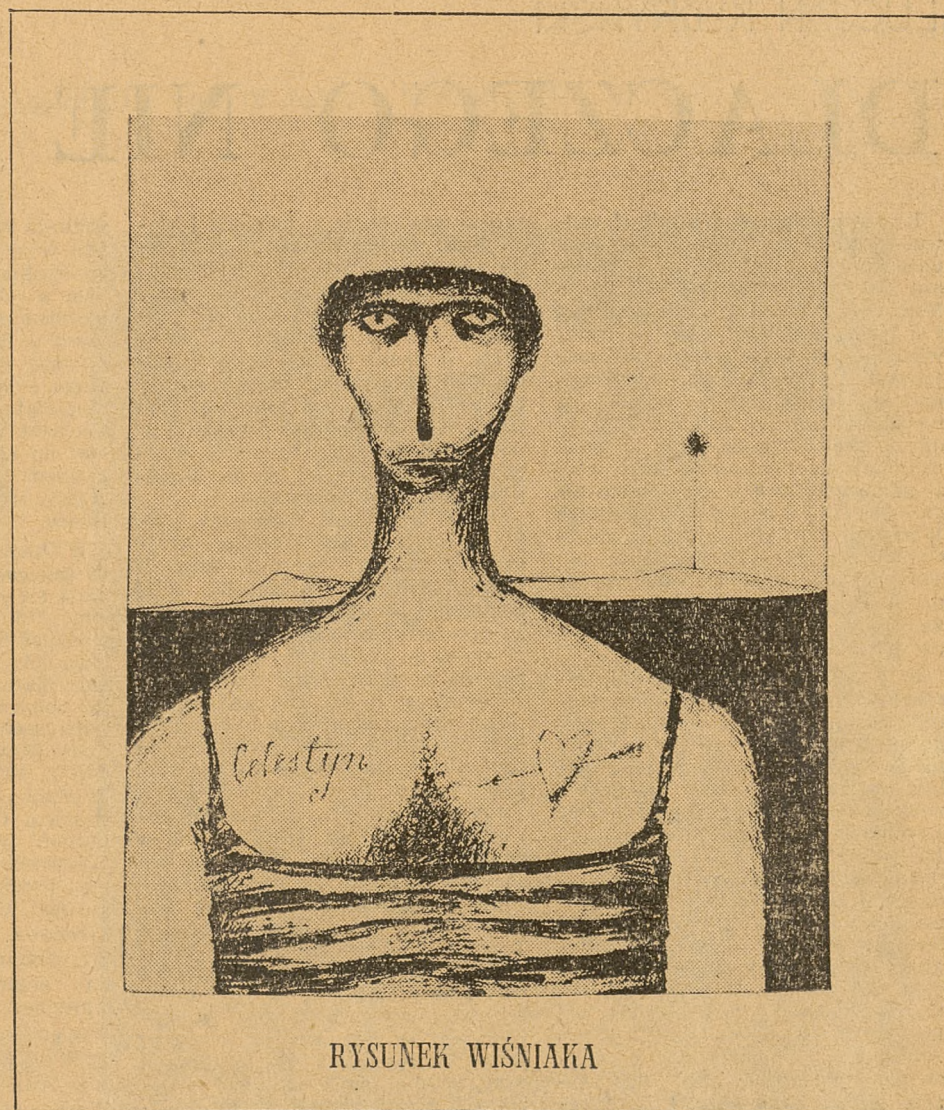
PAYNET GRAFIK POETA



Rołnik, który otrzymał list od ukochanej.



Obraziłaś się?



RYSUNEK WIŚNIAKA